Nr. 10 Rok 5 Kraków, dnia 5 marca 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



Pilna uczennica

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

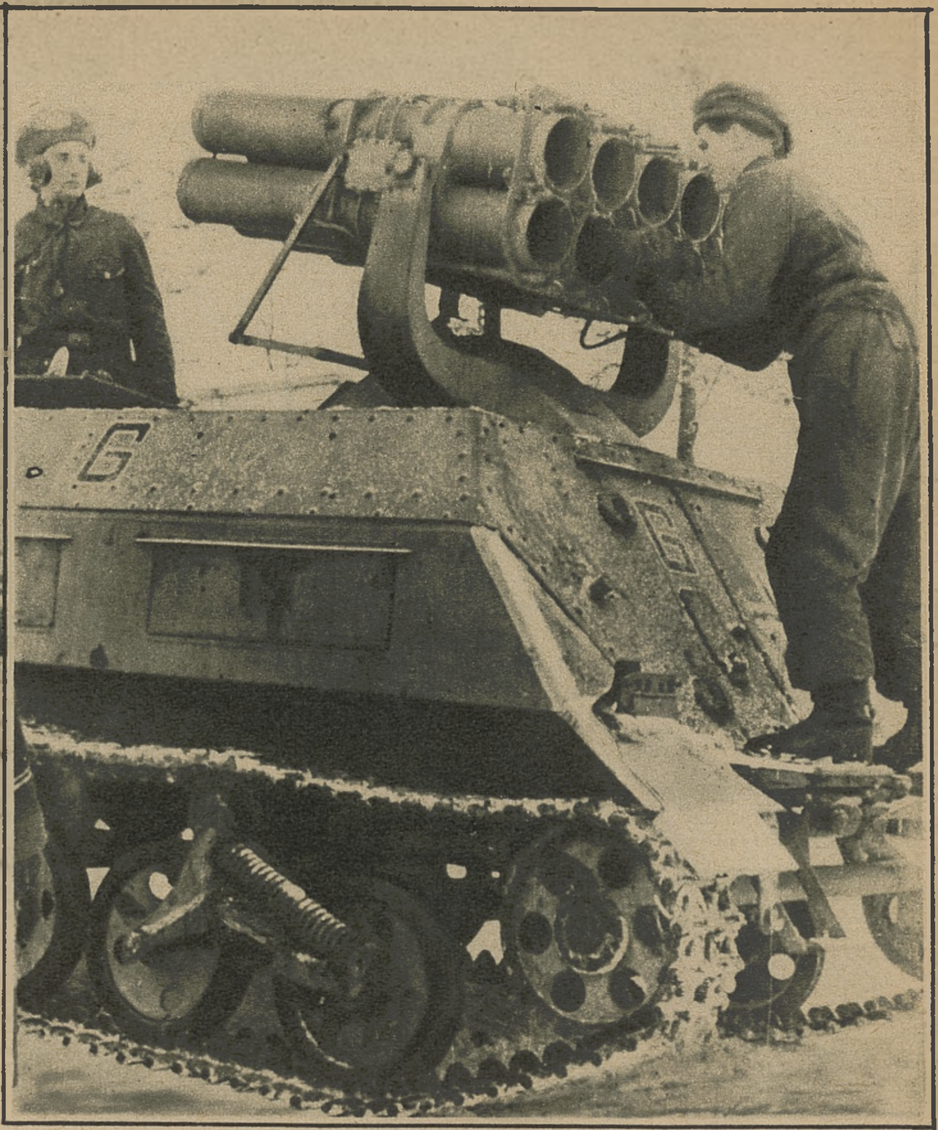
Fot. Borek

Na Wschodzie

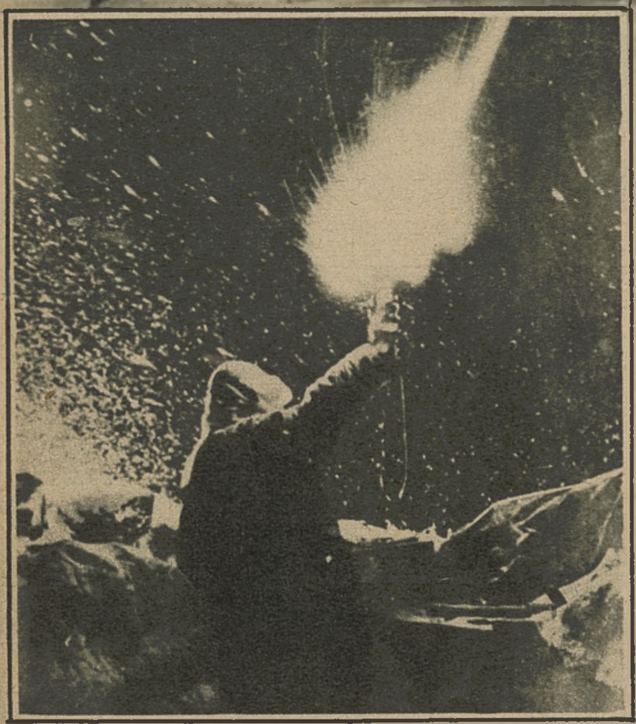


MIOTACZ GRANATÓW W AKCJI
Z głośnym świstem opuszcza lufę jeden pocisk po drugim.

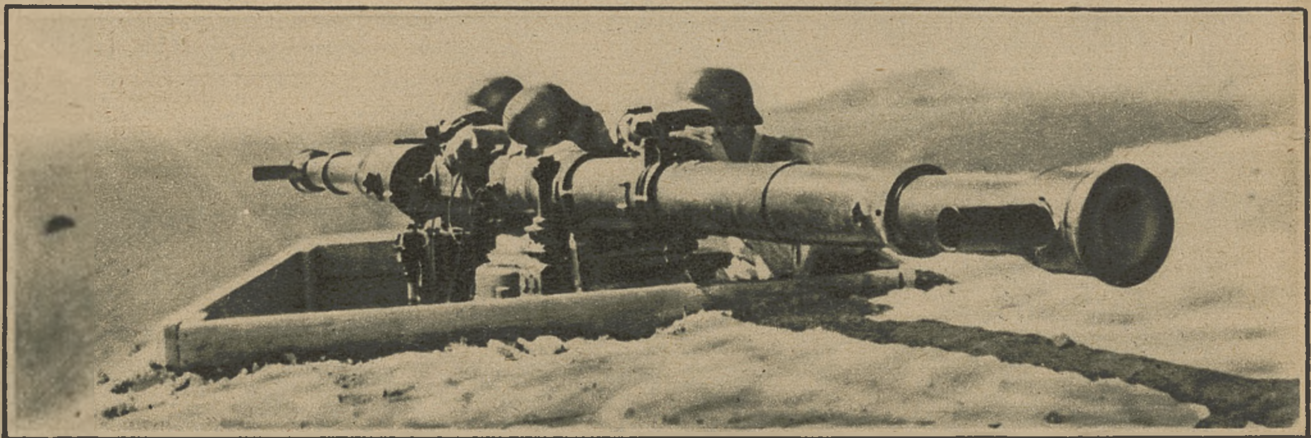
Poniżej:
NIEMIECKI PANCERNY MIOTACZ GRANATÓW NA WSCHODNIM FRONCIE
Kanonier skierowuje wszystkie dziesięć luf granatnika na pozycje sowieckie.



Na lewo:
W PRZEDNIEJ LINII OPORU
Niemiecki grenadier nadaje sygnał świetlny.

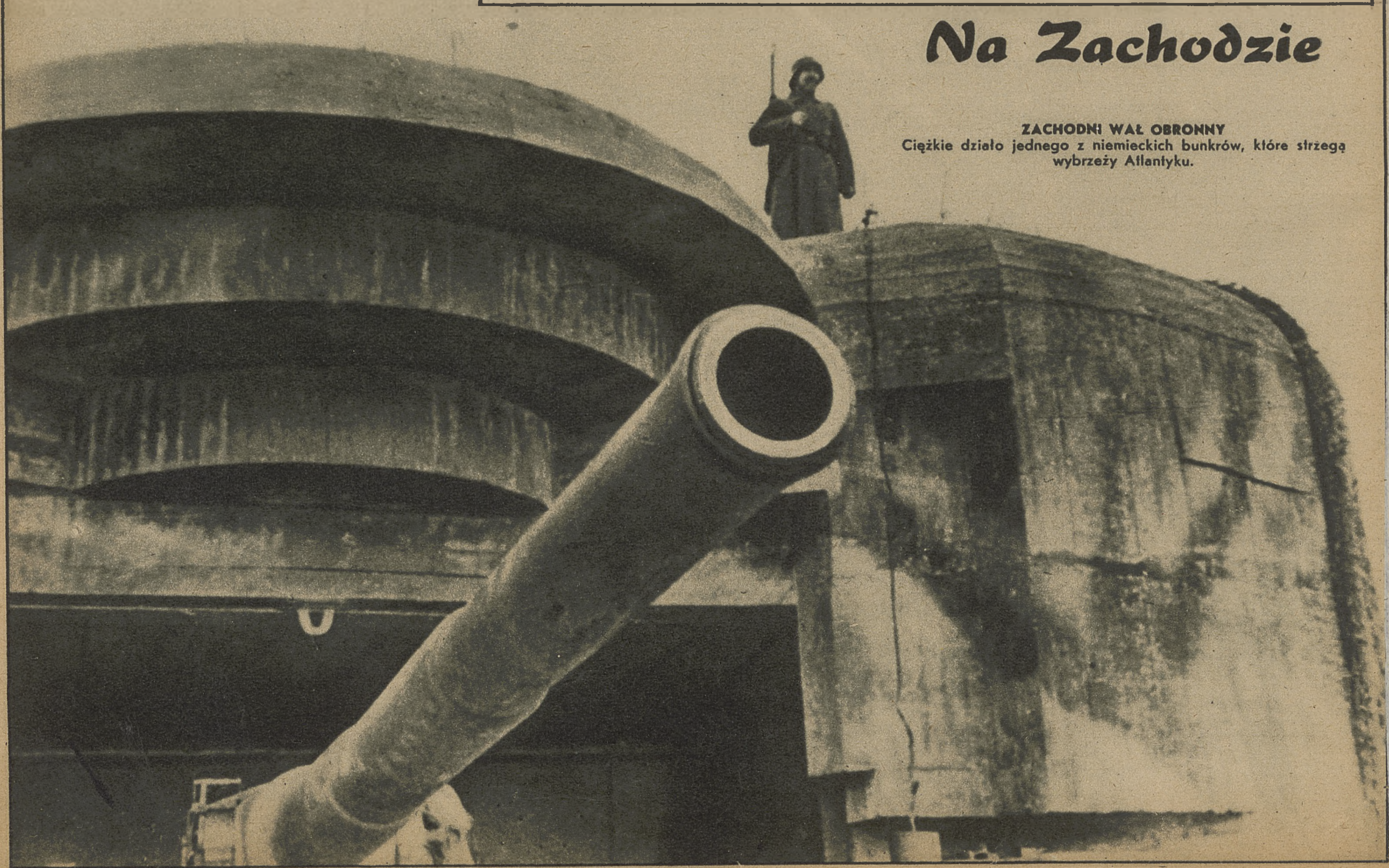


Poniżej:
PRZY DALMIERZU
Pozycja niemieckiej artylerii na wybrzeżu. Obserwatorzy ustalają odległość przepływającego okrętu nieprzyjacielskiego.

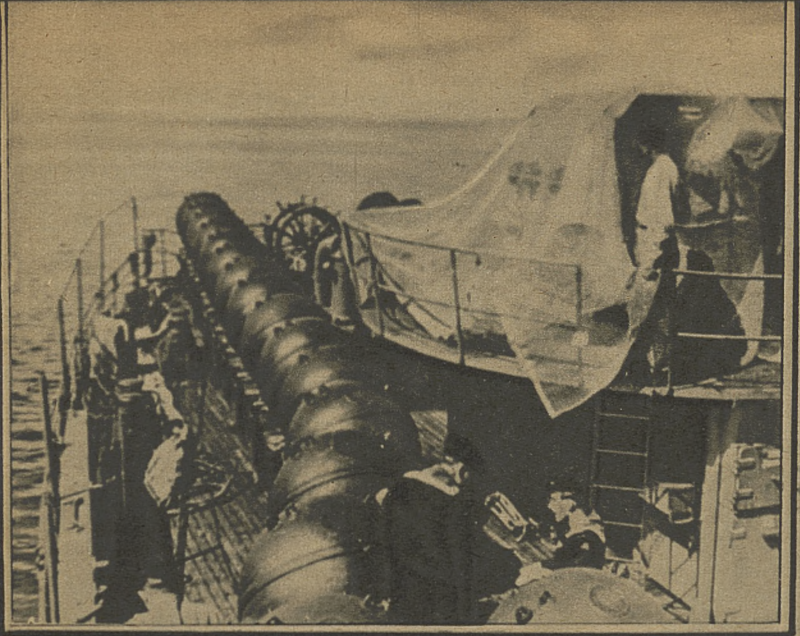


Fot: PK. Kessler, Spitzner-Atl., Reitzner-Sch., Göttert, Grimm-TO.

Na Zachodzie

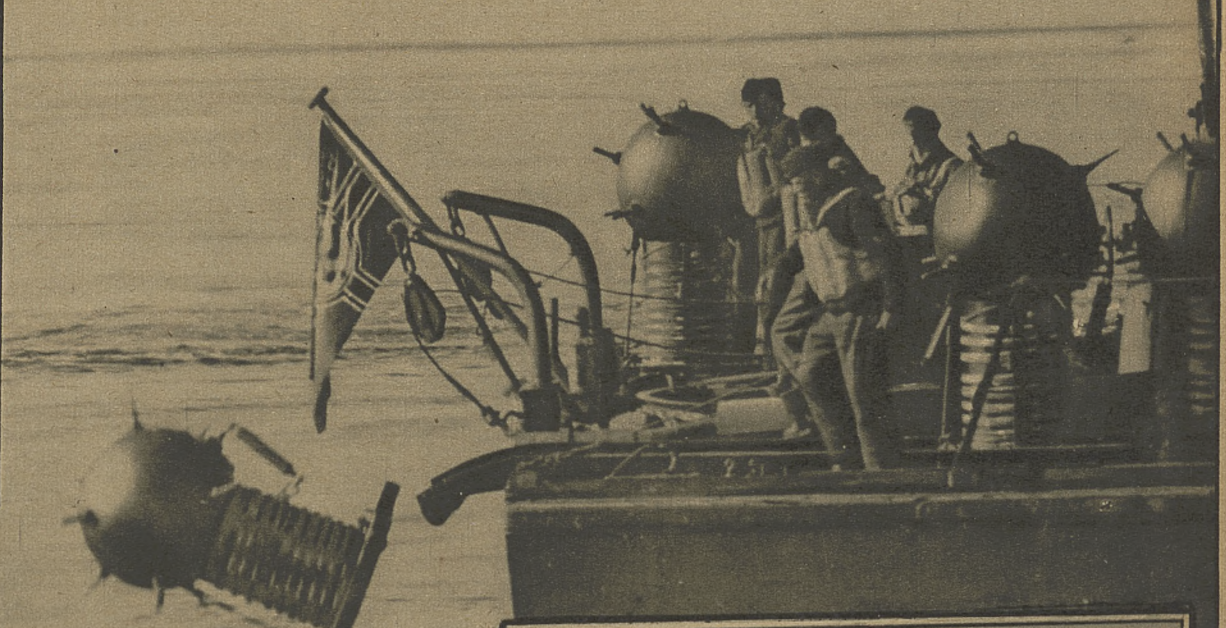


ZACHODNI WAŁ OBRONNY
Ciężkie działo jednego z niemieckich bunkrów, które strzegą wybrzeży Atlantyku.



Na lewo:
W długim rzędzie leżą miny na okręcie, który je potem rozrzuci po wodnych polach minowych.

Niemiecki stawiacz min przy pracy. Jedna mina po drugiej zanurza się w morzu i następnie pływa tuż pod powierzchnią wody. Specjalna kotwica utrzymuje minę w tym położeniu.



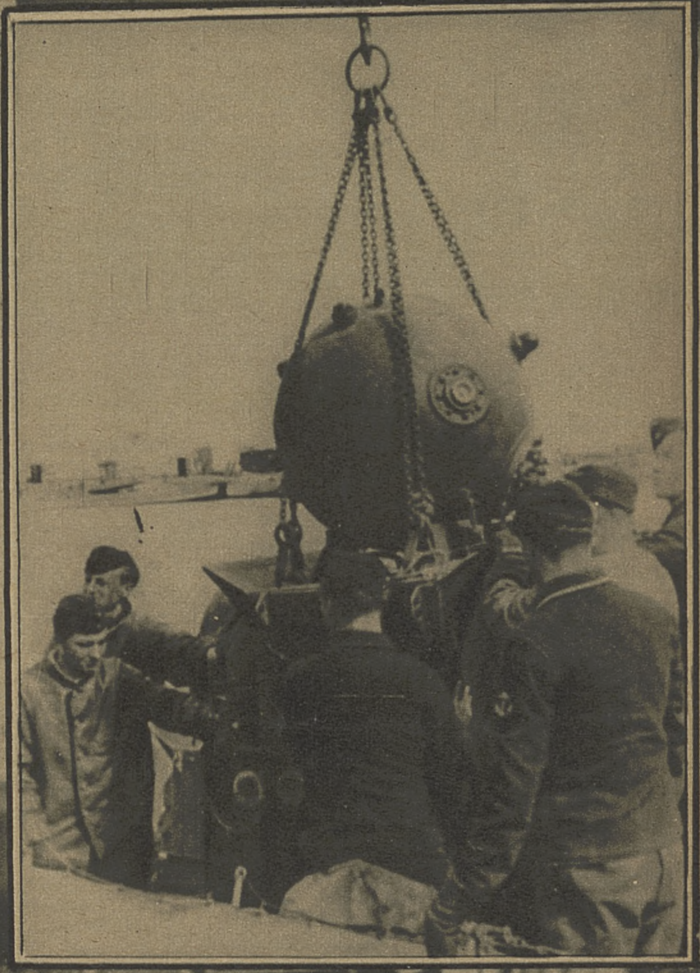


Umocnienia wybrzeży Europy nie ograniczają się tylko do lądu, lecz także sięgają daleko w głąb morza, gdzie znajdują się przede wszystkim gęste zapory minowe, utrudniające okrętom nieprzyjacielskim dostęp do brzegu.

Na prawo:
W porcie ładuje się miny, ze składu amunicji, na statki.

Na lewo:
W wojennym porcie specjalne łodzie dowożą miny do okrętów-stawiaczy, które następnie transportują je dalej na morze.

Poniżej:
Transportowiec z nowym ładunkiem min przybił do portu. Miny te przeładowuje się następnie na parowiec, który z kolei zawiezie je do składu amunicji.



Fot.: PK. Walda, — PBZ, Heidsick — Sch., Köncke, Peter (2) — Atl.



MORSKI WAŁ OBRONNY

RYBACY KOBIETY

Kobieta czar, kobieta kwiat, jasny chryzantem szarej ziemi", mówi aforyzm japoński wielbiąc wdzięk i piękno córy Nipponu. W odległej krainie „Wschodzącego słońca" i „Kwitnącej wiśni", wśród niepokalanego lazuru nieba i wody, wśród upajającej woni bujnych, a zarazem delikatnych kwiatów, żyje Japonka, zaliczana do najpiękniejszych kobiet rasy żółtej. Przy bliższym poznaniu odsłania nam Japonka obok swych zalet fizycznych, wysokie walory charakteru. Ta zgrabna i delikatna kobietka jest w życiu codziennym niezwykle dzielną i niesłychanie pracowitą. Po prostu nie ma dziedziny pracy, której by się nie podjęła. Uprawa ryżu, warzyw, hodowla jedwabników, zbiór herbaty, wszystko to należy do obowiązków kobiety japońskiej. Prace te wykonują Japonki same lub wspólnie z mężczyznami i to nie tylko na własnych gospodarstwach, lecz także wynajmując się jako robotnice. Nie obawiają się one nawet tak ciężkich robót jak holowania dużych obciążonych towarami łodzi, poruszania kieratów, wyładowywania towarów i węgla w portach itp. W japońskich wioskach nadbrzeżnych, gdy mężczyźni wyruszali na sezonowe roboty do miast, kobiety podejmowały się ochoczo ciężkiej pracy rybaka. Dziś, gdy mężowie i synowie z orężem w ręku walczą na licznych polach bitewnych, na wątłych barkach kobiet japońskich prawie wyłącznie spoczywa obok innych zajęć również i połów ryb. Jeśli los będzie sprzyjał, powrócą radośnie na brzeg wioząc z sobą wspaniały łup, podstawę egzystencji.



Tylko najcięższą pracę — wyciąganie na brzeg wielkich sieci rybackich — wykonują nieliczni mężczyźni pozostali we wsi.



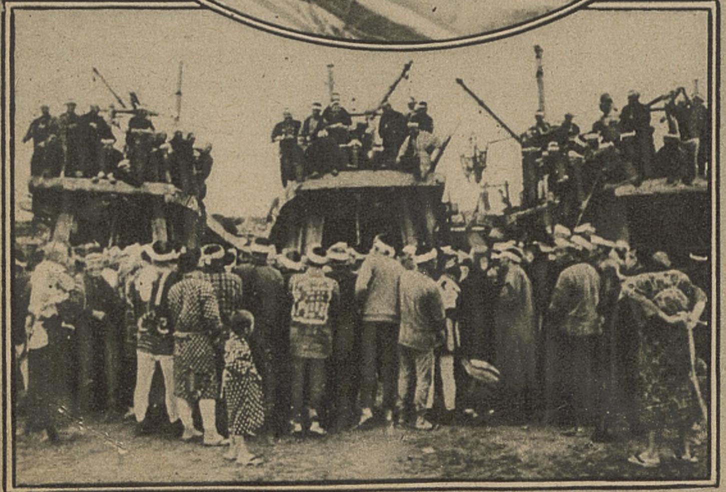
Obok w kole:
Po pracy wybornie smakuje skromny posiłek. Ileż uroku kryje w sobie ta sjesta na zalanych słońcem piaskach przybrzeżnych, wśród upojnej słodyczy łagodnego powietrza morskiego.



Poniżej:
Niby żywe srebro trzepoczą się rybki w koszach na obficie obładowanych łodziach.

Fot: Witzleben





Powyżej w kole:
Zdrowie i siła promieniują z postaci młodej rybaczki. Wspaniały klimat i odcięcie od świata samotnych wiosek rybackich pozwala kobietom na swobodę [illegible]biorze, jakiej zazwyczaj Japonki nie praktykują.

Powyżej: Łodzie rybackie powracają z połowu. Wszystko co żyje spieszy na brzeg w pełnym napięcia oczekiwaniu jak wypadł połów.



OSTROŻNIE! GRYZOŃ MA OSTRE ZĘBY... Nagle „lachowo" za ogon wydobyte z łoni stworzonko, może nieostrożnego łowcę dotkliwie pokąsać, w przewidywaniu tej niezbyt miłej ewentualności, należy nutrię trzymać jak najdalej od siebie.

NA MOKRADŁACH OJCZYZNY NUTRII...

Jakże miło i wytwornie ubrać się w ciepłe, znane i ogólnie cenione futro małego zwierzątka ziemnowodnego, zwanego pospolicie aczkolwiek nie ściśle „bobrem bagnistym" lub „szczurem bobrowym" albo popularniej, by tak rzec fachowo, nutrią! Z rodziny „bobrowatych". południowo-amerykański ten gryzoń prowadzi beztroski swój i „mokry" żywot wśród rozległych moczarowatych okolic, kędy miliony takich stworzonek pływają, grzebią się w mule i żerują ku własnej uciesze i pożytkowi praktycznego rodzaju ludzkiego . . . Dawno już poznał człowiek pod kątem widzenia korzyści „zacny ród" nutrii. By racjonalnie wziąć się do wspaniale kalkulującej się „opieki" nad zwierzęciem, poddano małego gryzonia zabiegom hodowlanym na specjalnych fermach, będących w istocie swej niby prawdziwymi rezerwatami, w których żyją szczuro-bobry jakby na zupełnej swobodzie, bo też pod żadnym pozorem nie można by nazwać niewolą wspaniale wyposażonych we wszystkie naturalne warunki egzystencji nutrii urządzeń hodowlanych. Kilometrami ciągną się posiadłości towarzystw eksploatacyjnych, firm futrzanych czy zawodowych hodowców tych zwierzątek, a obszar obejmujący kilkadziesiąt nawet kilometrów nie jest w danej dziedzinie niczym nadzwyczajnym. Oczywiście jest to obszar zamknięty, strzeżony i noszący cechy na szeroką skalę zaprowadzonego przedsiębiorstwa, bo takim być musi, to nie ulega kwestii, o ile ma się opłacać i stać na odpowiednim poziomie w stosunku do konkurencji i wymogów odbiorców wyprodukowanego ostatecznie „towaru", co jest przecież celem całego przedsięwzięcia hodowlanego. Krajobrazowo — są fermy nutrij typowym zjawiskiem w Ameryce Południowej, a przestrzenie o rozciągłości 35 lub więcej kilometrów, obejmujące jedno „gospodarstwo" wodno-błotne, dokumentują tylko wysoką opłacalność włożonego w hodowlę trudu. Z natury swej jest nutria zwierzątkiem bardzo do hodowli podatnym, cechuje je „dobroduszność", ufność, przywiązywanie się do hodowcy i łatwość współżycia z otoczeniem, któremu nie wyrządza krzywdy ni nie prowadzi z nim zatargów o żer czy miejsce bytowania. Hodowcy przypisują ponadto nutrii „psią wierność" i wysoką „inteligencję", w co naturalnie musimy uwierzyć na słowo, bo sami nie mamy możności bezpośredniego sprawdzenia powyższych danych. Jakkolwiek takie mnóstwo cnót wszelakiego rodzaju zdobi nutrię, przecież nie można zbytnio ufać ostrym ząbkom stworzenia, w momencie nagłego wyciągnięcia go z wody za . . . dajmy na to, ogon, będącego uznanym przez hodowców „punktem uchwytowym" przy powyższym procederze . . . Oprócz zwykłego pożywienia, o które samo stworzonko już się stara, bardzo przypada szczurobobrowi do gustu kukurydza, wrzucana też w znacznych ilościach do wody na fermach i skrzętnie konsumowana przez nutrie. Zaszyte w sitowiu, nieodzownym akcesorium „dobrego czucia się" nutrii, drzemie stworzonko niemal dzień cały w swej norce, by z nastaniem zmierzchu i nocą wyjść na świat po pożywienie i dla igraszek.

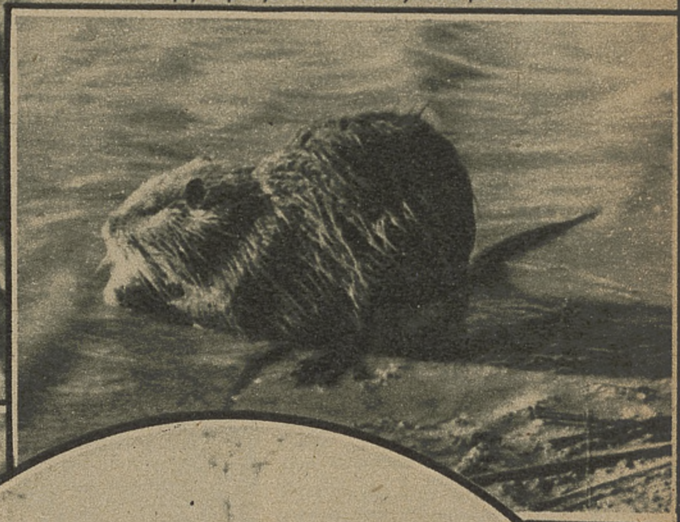
Na prawo w kole:
TOWARZYSKIE „SAVOIR VIVRE" — PRZEDE WSZYSTKIM!
Nutria jest bardzo dobrze z natury „ułożonym" stworzonkiem i żyje w nader poprawnych stosunkach sąsiedzkich z innymi mieszkańcami fermy, nie szkodząc im nigdy. Dużą sympatią darzone są kaczki, jako osobniki o podobnych wodno-błotnych upodobaniach.

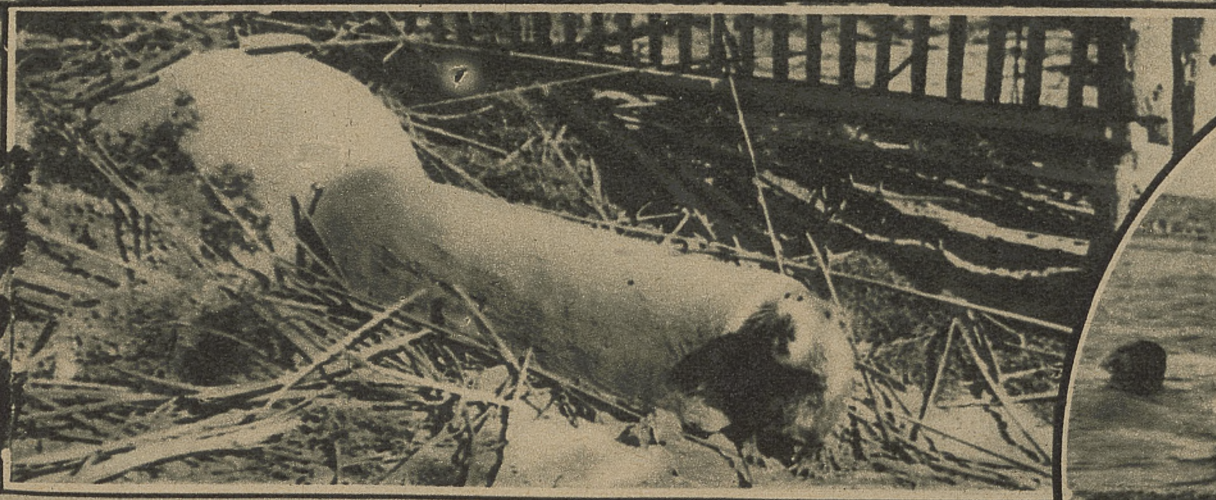
Na prawo:
Cała familia nutrii wyległa na moczar, by w romatycznej poświacie niknącego dnia snuć marzenia o pięknie swego istnienia, a może tylko węszyć prozaicznie za czymś, co można by „na ząb położyć . . ."





Poniżej:
POOBIEDNA SJESTA W CIEPŁEJ WODZIE PRZYBRZEŻNEGO MUŁU
W całej swej „uroczej" okazałości odpoczywa syty darów bożych i zadowolony ze siebie gryzoń, by nabrać sił do nocnych łowów, które są jego drugą naturą. W nocy dopiero „jaśnieje pełnym blaskiem" jego spryt i pomysłowość w zdobywaniu pokarmu.





PRZED „KOMFORTOWĄ WILLĄ" NUTRII...
Pieczołowita opieka nad okazami hodowlanymi daje świetne rezultaty w potomstwie. Oto mieszkanko nutrii, niby olbrzymi przewrócony gąsior, gdzie tak dobrze czuje się włochaty lokator.



Na prawo:
NUTRIA JEST SMAKOSZEM I MA SWE ULUBIONE WETY
Szczególną sympatią darzą komiczne bobro-szczury kukurydzę. Specjał to nad specjały, i, by zaskarbić sobie zaufanie pupilów, należy im od czasu do czasu dogadzać pod tym względem.

BÓBR BAGNISTY

Fot: Witzleben i Peters

Non scholae, sed vitae...





Powyżej:
Nauczycielka postawiła trudne pytanie, ale już kilka uczennic znalazło odpowiedź i powoli podnosi się coraz więcej rąk do góry.

Na lewo:
Z całą powagą i trzymając takt aż do zadziwienia dobrze, dyryguje jedna z uczennic śpiewem swych koleżanek.





Na lewo:
Jedna z uczennic popisuje się grą na fortepianie.



Powyżej:
Na lekcji przyrody. Nauczycielka tłumaczy uczennicom na modelu budowę oka ludzkiego i jego funkcje.

Fot.: Borek

Na lewo:
Nauczycielka przechodzi wśród rzędów ławek i przegląda zeszyty uczennic. Poprawia przy tym ich zadania i daje wyjaśnienia.



Na prawo:
Jako motyw do ornamentu obrała sobie mała artystka „bałwanki ze śniegu".

Poniżej:
Uczennice pierwszej klasy śpiewają piosenki chóralnie na lekcji śpiewu.

ODWIEDZINY W KRAKOWSKIEJ SZKOLE ŻEŃSKIEJ

W tych dniach odwiedziliśmy z naszą kamerą fotograficzną żeńską szkołę powszechną, jeden z wielu zakładów, w których polska młodzież GG. zaznajamia się z elementarnymi podstawami wiedzy, zanim rozpocznie samodzielne życie lub przystąpi do nauki obranego przez siebie zawodu.

W pierwszej klasie wtajemnicza się chłopców i dziewczęta w trudne arkana „ABC". Z każdym dniem coraz zgrabniej kreślą drobne ręce ołówkiem litery alfabetu. Oprócz pisania zaznajamia się dzieci w szkole także z innymi umiejętnościami. Na lekcjach rachunków zapoznają się dzieci z liczbami. Śpiew wyrabia ich głos, słuch oraz poczucie rytmu i taktu. Rysunek kształci fantazję i rozwija zdolność obserwacji przyrody. Poza tym według planu nauki uczą się dzieci jeszcze innych przedmiotów ogólno-kształcących, między innymi: religii, geografii, przyrody, robót ręcznych. Obok szkół, w których uczy świeckie nauczycielstwo, istnieją także szkoły prowadzone przez zakonnice.

Jak widzimy ze zdjęć zamieszczonych obok, oddają się dzieci nauce z wielkim zainteresowaniem. Na lekcji rysunków obrano dla najmłodszych bardzo aktualny temat. Jeszcze jest zima w całej pełni, cóż więc naturalniejszego i bardziej interesującego można obrać za model do rysowania jak bałwana ze śniegu. Z prawdziwą przyjemnością rysują dzieci komiczne bałwanki, które następnie pomalują barwnymi farbami. Na lekcjach przyrody w wyższych klasach, ilustrują tablice poglądowe i plastyczne modele teoretyczny wykład nauczycielki.

Choć wszystkie dzieci chętnie się uczą, to jednak przerwa między godzinami jest zawsze witana z ogromną radością, gdyż wtedy nie trzeba cicho siedzieć, można się bawić wesoło w różne gry, a również można sobie w tym czasie oopwiedzieć wiele ciekawych rzeczy.



Powyżej:
Z wielkim zapałem grają uczennice podczas pauzy partię „łapek" wobec publiczności rozumiejącej się na tej grze.





Powyżej:
W czasie pauzy.

Śmierć krąży po zamku

Roman Chrząstowski



Dokończenie

Jadąc do redakcji, Costa reasumował wszystkie znane mu fakty. Jego przyjaciel ma paskudny problem do rozwiązania, gdyż jedne fakty zaprzeczają drugim. Jedyna rzecz uchwytna, to świadomość, że tylko ktoś o nadzwyczajnych zdolnościach cyrkowych mógł podobnej sztuki akrobatycznej dokonać, chociaż wydaje się ona w ramach ludzkiego rozumowania niewykonalna. Niemniej należało trzymać się tego rozumowania.

Przypadkowo wpadł mu w oczy barwny plakat z napisem: „Rex. Grandes attractions" i bez namysłu skierował wóz w kierunku namiotów cyrkowych. Piękne kobiety spotyka się wszędzie, ryby w wodzie, akrobatów jednak należy szukać w cyrku. W najgorszym razie napisze jakiś barwny reportażyk z życia cyrkowego, a na razie rozpatrzy się na miejscu i ewentualnie dojdzie do jakichś ciekawych wniosków.

Na arenie były robione przygotowania do wieczornego przedstawienia. Służba usuwała kraty, widocznie przed chwilą odbywała się tresura dzikich zwierząt.

Costa podszedł do klatek i zwrócił się do stojącego obok dozorcy.

— Miłe kociaki? co?

— Do czasu — dozorca wsunął rękę między pręty i poklepał po karku tygrysicę, która bezmyślnie wpatrywała się w przestrzeń — . . . do czasu tylko; pewnego dnia rzucają się i rozszarpują kogoś. Lwy są pod tym względem bezpieczniejsze.

Costa podał mu pudełko papierosów. — Może jakiś „tip" dla mojej gazety? . . . Coś z własnych przeżyć.

Dozorca pokazał głęboką bliznę, zaczynającą się od przegubu.

— Sięga aż po łopatkę. Pracowałem kiedyś przy niedźwiedziach . . .

— Laporte do dyrekcji! — zawołał chłopak w liberii i pobiegł dalej.

— Nom de chien . . . niech pan wejdzie do mego wozu i poczeka chwilkę. Cóż ten stary znowu chce — mruczał po drodze.

Dziennikarz usiadł na stopniach wozu i zaglądnął do środka. Nagle zerwał się, podszedł do stolika i gwizdnął przez zęby.

Obok zatłuszczonej gazety leżała jakaś czerwona makatka, wyszywana złotem. Z miejsca rzucało się w oczy, że jej obecność tutaj, wśród podniszczonego urządzenia wozu jest co najmniej dziwną. W kilku punktach miała ciemne plamy. Według zeznania Battisty makatka, złotem tkana, zniknęła z pokoju zabitego.

Słysząc zbliżające się kroki, szybko położył ją na miejscu i zaczął oglądać fotografie przylepione do ścian. Tu należało postępować z jaknajwiększą ostrożnością, gdyż było nieprawdopodobnym, by morderca tak kompromitującą rzecz trzymał na wierzchu.

Na razie pozwolił dozorcy opowiedzieć swoje przeżycie z niedźwiedziem polarnym, z którego wyszedł ostatecznie zwycięsko, wypytał się o akrobatów występujących w cyrku, porobił notatki i umówił się z nim na wieczór w tawernie „Dauphin".

Gdy nad ranem pędził samochodem w kierunku La Monta, szumiało mu nieco w głowie z wypitego tej nocy grogu, niemniej świadomość, że zna zabójcę Juliusza Vernon wprawiała go w bajeczny humor. W duchu pokpiwał z komisarza, który rano telefonował do redakcji, wzywając go natychmiast. Pewnie wpadł na nowy trop, a tymczasem sprawca zbrodni siedzi sobie w bezpiecznym schronieniu.

— No, jak tam, komisarzu? — klepnął go po ramieniu — za trzy godziny wypuszczamy nadzwyczajny dodatek, z którego dowie się pan, w jaki sposób zginął Vernon i kto jest jego mordercą.

— Kto jest mordercą? — Jaurès podniósł brwi do góry.

— Siedzi sobie za kratkami, dziś w nocy go widziałem.

— To całe szczęście, bo . . . — komisarz przejechał palcami po oparciu krzesła — . . . dzisiejszej nocy został w pokoju na drugim piętrze zamordowany profesor Henryk Vernon.

Tym razem brwi redaktora zadrgały, podskoczyły do góry, by zatrzymać się gdzieś wysoko.

— Profesor?! . . . ça par exemple . . . musimy zmienić dodatek, lecę do telefonu, by wstrzymali na razie ten cały kram, który im wypisałem.

Powróćmy jednak do wypadków, jakie rozegrały się w międzyczasie w zamku.

Około 10 wieczorem przyjechał profesor Vernon; był młodszy od swego brata i na jego przystojnej, trochę upartej twarzy, nie było znać śladów zmęczenia z podróży. Nie uszedł uwagi komisarza pewien chłód, jaki okazywał obojgu Brignonom, który z kolei i im udzielił się. Zmarły miał być niezwykle miłego usposobienia i pod tym względem brat wydawał się różnić od niego.

Pani Brignon, skarżąc się na ból głowy, przeszła do swego pokoju i niedługo potem panowie zostali sami. Niestety Henryk nie mógł udzielić żadnych informacji, które pomogłyby wyjaśnić sprawę. Juliusz był powszechnie lubiany i mało jest prawdopodobnym, by posiadał wroga, który by w swym fanatyźmie posunął się do tak potwornego czynu.

Po jedenastej udali się do swoich pokoi, a nad ranem służący obudził komisarza, niezwykle wzburzony, z wiadomością, że profesorowi musiało się coś złego przydarzyć. Przed chwilą ogrodnik odkrył linę, zwisającą z okna narożnego pokoju, w którym nocował Henryk Vernon.

I tym razem drzwi były zamknięte na klucz od wewnątrz; złe przeczucie owładnęło wszystkimi, gdy na pukanie nie było żadnej odpowiedzi.

Po otworzeniu znaleźli profesora, leżącego w zakrwawionej pyżamie z wbitym sztyletem w klatkę piersiową.

— Et voilà — ciągnął Jaurès — sztylet pochodził z gablotki, stojącej obok łóżka, stara broń hiszpańska, a najciekawsze, że tym razem zginęła znowu miniatura jakiejś dalekiej krewnej, wisząca nad gablotką i nic więcej. Jednym słowem nasz szaleniec co najmniej dziwnie postępuje, a jednak . . . — oparł się wygodnie w fotelu — . . . jednak tym razem wpadł. Ale racja! . . . — uderzył się po kolanie — przyszedłeś z bombastyczną wiadomością i . . .

— Cokolwiek tu się stało, jedna rzecz jest pewna dla mnie — przerwał mu Costa — sprawca śmierci Juliusza Vernon, prezesa koncernu handlowego był wczoraj za kratkami, więc nie mógł pozbawić życia Henryka Vernon, profesora uniwersytetu.

— Costa . . . zaczynasz mi się podobać . . . śmiało dalej.

— Jak dowiesz się, kto zabił prezesa, to ci oko zbieleje.

— Bądź bezwzględny i opowiadaj.

— Otóż, przypadkowo znalazłem u dozorcy cyrku „Rex" makatkę, która zniknęła z pokoju prezesa i . . . — spojrzał z tryumfem na przyjaciela.

— No, no . . . słucham.

— . . . i skłoniłem go tego wieczoru do pewnych zwierzeń, które pośrednio łączą się z wypadkami w La Monta. Dozorca, odnalazłszy niespodziewanie swego brata, którego ostatni raz widział, będąc małym chłopcem, spił się z tej okazji do nieprzytomności. Nie wie, jakim cudem trafił na teren cyrku, dość że kilka godzin poźniej obudził się pod wpływem zimna i z przerażeniem skonstatował, że leży w pustej klatce goryla.

— Goryl! . . .

— Tak, goryl, który skorzystał z okazji i uciekł. Dozorca zostawił drzwi klatki otwarte i udał się do swego wozu z nadzieją, że małpa sama wróci. Miał zresztą szczęście, że goryl, mało oswojony i nie występujący jeszcze na arenie, nie oporządził go, gdy nieprzytomny wpakował się do jego klatki. Nad ranem zwierzę samo wróciło i cały incydent mógł przejść niepostrzeżenie. Zdziwił się jedynie, że małpa trzyma jakąś czerwoną płachtę kurczowo przy sobie i, dopiero zwabiwszy ją jedzeniem, udało mu się makatkę wydobyć. Teraz, jak widzisz, wczorajsze wypadki wydają się jasne. Małpa, krążąca widocznie w tej okolicy, została przywabiona światłem do pokoju Vernona; musiał ją czymś podrażnić, że rzuciła się na niego . . . no i mamy całą sprawę z jej bezsensownymi wariantami.

— Pas mal . . . pas mal — Jaurès pokiwał z uznaniem głową — to by pokrywało się ze śladami, znajdującymi się na toporku oraz na szyi zabitego. Zresztą . . . moi skromni agenci doszli do tego samego wyniku i ów Laporte czeka już od kilku godzin na dyspozycję sędziego śledczego.

— Widziałem tego goryla, ponad dwa metry wysokości i na sam widok jego można dostać dreszczy. O ile wierzyć podróżnikom, że goryl w wściekłości potrafi przegryźć lufę karabinu jak precelek, to wziąwszy pod uwagę jego pobyt w La Monta, należy osądzić, że był jedynie lekko podenerwowany. Dobrze, a co z Henrykiem Vernon?

— Tu mamy zbyt dużo śladów, które prowadzą do jednego: morderca znajduje się wśród mieszkańców zamku.

— ? . . .

— Pierwsza przesłanka to sznur od portiery, który zwisał z okna. Został on tylko dla zmylenia śladów przymocowany do ramy okna. Morderca nie zadał sobie nawet trudu ściągnięcia go pod naporem ciała w dół, by węzeł zacisnął się dostatecznie, a poza tym koniec jego zwinął się na balkoniku pierwszego piętra i tego zabójca nie zauważył w nocy, sądząc, iż lina sięga do ziemi. Dalsze badania wykazały, że tym razem istnieje przejście między pokojem narożnym a sąsiednim. Płyta stalowa, która oddziela oba kominki od siebie, jest ruchoma, obraca się na osi bez żadnego tajnego mechanizmu, po prostu ma dwie zasuwki w górnej części. Więc zabójca, będąc pod wrażeniem opinii, że poprzednią zbrodnię popełnił jakiś szaleniec, sądził, że uda mu się niepostrzeżenie na jego konto nową dołączyć. W tym celu usuwa jakiś obrazek, by rzecz nadal wyglądała bez sensu. W tajne przejścia nikt tu nie wierzy, więc by uprawdopodobnić akcję, zostawia zwisający sznur z okna.

— Do diaska, ale któż to może być?

— W tym sęk, że teoretycznie każdy. W międzyczasie otrzymałem trochę danych o tutejszych mieszkańcach. Otóż: Brignon, jak się okazuje, grał namiętnie na giełdzie, poniósł ostatnio duże straty i zapewne operował bez wiedzy kuzyna jego kapitałem i akcjami. Z chwilą, gdy profesor objąłby dziedzictwo, z całej sprawy wynikłaby katastrofa. Jedźmy dalej:

— Battista — karany przed kilkunastu laty trzyletnim więzieniem za przynależność do bandy przemytników. Mógł mieć jakieś nieznane nam powody do popełnienia zbrodni. Jego przeszłość w żadnym razie nie przeszkadzałaby mu w tym.

Ogrodnik — ten nawet ma życie ludzkie na sumieniu. W zazdrości zabił, względnie przyczynił się do śmierci swej kochanki; karę dawno odsiedział. Stara historia, niemniej pouczająca.

Szofer — silnie politycznie zaangażowany. Brał udział w wiecach, w których polała się krew. Tu mielibyśmy motyw polityczny.

Poza tym cały personel żeński mógł współdziałać, na razie nie jest stwierdzone, czy np. zabity nie dostał środka odurzającego.

— Odciski palców — Costa zapalił papierosa.

— Mógł je każdy zostawić w pokoju bez udziału w zbrodni. Szofer wnosił walizki, ogrodnik rozpalił ogień na kominku itd.

— Więc co pozostaje?

— Moment załamania moralnego u zabójcy, do którego musimy doprowadzić.

— ? . . .

— Zobaczysz. Za chwilę odbędzie się mały teatr, którego będziesz świadkiem.

Weszli do biblioteki, gdzie, na zarządzenie komisarza, wszyscy, bez wyjątku, byli zebrani.

Jaurès w krótkich słowach podał wyniki śledztwa.

— Co do drugiej zbrodni, nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż morderca Henryka Vernon znajduje się tu, między nami — spojrzał uważnie na siedzących — i za chwilę będziemy wiedzieli, kto nim jest. Zostawił on pewne ślady, które pozwolą nam upewnić się w naszych podejrzeniach. Wszyscy z kolei na specjalnych kartkach złożą odciski palców, oraz odetnę każdemu kilka włosów do analizy.

Słowa komisarza zrobiły ogólnie tak silne wrażenie, że trudno byłoby po zmianach na twarzy wywnioskować o winie.

— Ależ pan sobie chyba zażartował z nas — Brignon podniósł się z krzesła i przeszedł nerwowo wzdłuż półek. — Przecież to jest kompletny nonsens — wskazał ręką na obecnych.

Kucharka obserwowała wszystkich nerwowo i wzrok jej dłużej spoczął na ogrodniku — Jezus, Maria . . . czy to możliwe — szeptała bez przerwy.

Najswobodniej zachował się szofer, z miną ironiczną wyrwał sobie włos z gęstej czupryny i podał go wytwornie agentowi.

— Wszystko pięknie i ładnie, ale ja z tymi obrzydliwymi palcami nie myślę tu siedzieć, mógł wystarczyć chyba jeden do odcisków — pani Brignon pokazała ręce poplamione farbą. Idę je sobie obmyć.

— Chwileczkę — Jaurès podniósł rękę. — Za pół godziny mają wszyscy z powrotem zebrać się tutaj. Z góry ostrzegam, że wszelka ucieczka byłaby bezcelowa, zamek jest otoczony.

— Niechże pan wobec tego czym prędzej kończy tę komedię, na którą nic nie poradzimy — Brignon podszedł do komisarza — co do mnie, nie ruszam się z biblioteki — wyjął książkę z półki i usiadł w fotelu.

Gdy Costa znalazł się z komisarzem w sąsiednim pokoju, ze zdziwieniem spojrzał na niego.

— I co teraz będzie?

— Ano zobaczymy.

— Ta komedia z włosami?

— Komedia — komedią . . . a o wyniku niezadługo przekonamy się.

— Według mnie mordercą jest kucharka.

— Bo?

— Certowała się z wyrwaniem włosa, zapewne żal jej każdego, który nie będzie w przyszłości pływał w rosole.

— Mamy jeszcze 20 minut czasu . . .

— I właśnie złoczyńca tajnymi podziemiami ucieka.

— Ha! . . . żeby tylko chciał uciekać. O to nam właśnie chodzi. To wybitnie uprości sytuację.

— A czy na rękojeści sztyletu nie było żadnych odcisków?

— Zabójca miał widocznie rękawiczkę, lub owinął sobie rękę chustką, i dlatego dodałem do badań włosy, by wytrącić go z wszelkiej pewności siebie. Włos można zgubić przy największej ostrożności z tym musi każdy liczyć się.

Gdy weszli do biblioteki, kucharka szeptem rozmawiała z dwoma pokojówkami, ogrodnik stał przy oknie, bezmyślnie zapatrzony, szofer z papierosem w ustach siedział niedbale na kanapie obok Battisty.

Brignon na widok wchodzących odłożył książkę.

— No, nareszcie:

Jaurès rozglądnął się po pokoju.

— Pańska żona nie wróciła jeszcze?

— Battista, proszę poprosić panią — zwrócił się do służącego. — Czekamy na nią.

Po jego wyjściu wszyscy z wyrazem napięcia spojrzeli na komisarza, z którego miny nic nie można było wyczytać. Więc za chwilę ktoś z nich, z kim żyło się razem przez długi czas, okaże się zdolnym dokonania tak potwornego czynu. Każdy w głębi ducha kogoś innego podejrzewał, mimo że z góry zastrzegał się, że to chyba jest niemożliwe.

Nagle drzwi otwarły się i wpadł Battista.

— Szybko lekarza, pani umiera.

Brignon zerwał się i wybiegł na korytarz a za nim runęli wszyscy.

Gdy zobaczył swoją żonę, leżącą na łóżku, stanął jak wryty. Oczy, wokół których rozlały się głębokie cienie, były przymknięte, z ust dochodziło słabe rzężenie.

Jaurès podniósł jej rękę i opuścił bezwładnie w dół.

— Agonia — zwrócił się do dziennikarza — tu już nic nie da się zrobić.

Nachylił się, podniósł fotografię, która wysunęła się z palców leżącej.

Było to zdjęcie profesora Vernon, sądząc po młodej twarzy, zrobione dość dawno. U dołu wypisane: „Kochanej Lu — Henryk", oraz data sprzed kilku lat.

Brignon siedział na łóżku, łzy ukazały mu się w oczach, rękę trzymał na ramieniu żony.

— Luizo! . . . na miłość boską, co ci jest? . . . — zerwał się i zwrócił do komisarza — lekarza, szybko lekarza.

Jaurès kiwnął głową.

— Niestety lekarz już nic nie pomoże, trucizna zrobiła swoje. Proszę uspokoić się. Może nawet stało się lepiej, iż tak jest. Niech pan wyjdzie z nami.

— Nie, nie . . . — rzucił się ku leżącej, która dawała coraz słabsze oznaki życia. Kucharka zaczęła cicho zawodzić.

— Zupełnie jak w „operze za cztery grosze" — Costa wyszedł z przyjacielem na korytarz — w każdym akcie śmierć kogoś zabiera. Ten zamek wraz z ostatnimi wypadkami przypomina raczej dramat szekspirowski, niż rzeczywistość. Troje ludzi w niespełna trzy dni traci życie i najwyższy czas, by to skończyło się. Małpa zabija jednego, strome ścieżki jakiejś zawiedzionej miłości ciągną ze sobą w przepaść dalsze dwa życia ludzkie, a wszystko dlatego, że jakiś dozorca zalał się do nieprzytomności. Ciekawym tylko po czym on poznał swego brata po tylu latach, mógł przejść obok niego niepostrzeżenie i troje osób żyłoby do dziś dnia.

— Zapominasz o swoim „nadzwyczajnym dodatku", który masz za chwilę wypuścić — Jaurès uśmiechnął się ironicznie i poklepał po plecach.

— Wszystkiego bym się spodziewał, prócz tego, że drobna pani Brignon będzie zdolna do zabicia człowieka, i to jeszcze w taki sposób — twarz Costy była blada. — Jakiż impuls kierował tą wątłą istotą?

— Serce. Ten drobny motorek, który mysz potrafi w lwa zamienić. Dopisek na fotografii świadczy, że znali się bliżej przed jej małżeństwem z Brignonem. Widocznie suma miłości była ta sama, tylko o ile u niego malała, o tyle u niej wzrastała, aż doszło do katastrofy. Zresztą, może i świadomość, iż grozi im ruina materialna, nie była bez echa. W każdym razie musiała mieć już pewien plan, gdy kazała gościa umieścić w pokoju narożnym. Zastanawia mnie — skrzywił się i podrapał za uchem — czy nie była narkomanką. To stałe ziębnięcie w ręce i nogi wskazywałoby na kokainę. Większa dawka narkotyku też mogła mieć pewien wpływ na wypadki dzisiejszej nocy. Summa summarum była przekonana, że nikt nie posądzi jej o dokonanie tego czynu. Tymczasem załamanie moralne, na które liczyłem, sprawiło, że zabójca uciekł dalej niż przypuszczałem, bo: przed życiem. Tym sposobem sprawa w La Monta sama znalazła swój epilog.

Ostatnie słowa komisarz wypowiedział do siebie, gdyż Costa już dawno, ze słuchawką na uszach dyktował artykuł do nadzwyczajnego dodatku.

Koniec

Historia saxophonu

Wynalazca saxophonu, Adolf Antoni Józef Sax, urodził się 6 listopada 1814 r. w Dinant (Belgia), jako syn konstruktora instrumentów muzycznych Karola Józefa (1791—1862). Już Sax-senior zasłynął w swoim zawodzie. Syn Adolf kształcił się pod kierunkiem ojca i tej okoliczności zawdzięcza niejeden, dobrze później wykorzystany, pomysł. Młodość Adolfa upłynęła dziwacznie i obfitowała w najrozmaitsze nieszczęśliwe wypadki. Kilkakrotnie, nieledwie cudem, uniknął śmierci i dlatego zyskał u rówieśników przezwisko „Saxa-Upiora". Jednak bardziej aniżeli niebezpieczeństwo dokuczyła młodzieńcowi bieda. Ojciec wydał cały majątek na kosztowne eksperymenty konstrukcji instrumentów więc Adolf, jako najstarszy spośród jedenaściorga (!) małych Saxów wcześnie rozpoczął zarabiać na życie. Pierwszą większą pracą było udoskonalenie klarnetu w r. 1835. Niedługo po tym wpadł Sax na myśl skonstruowania instrumentu, który miał mu przynieść rozgłos i znaczne bogactwo. W r. 1841 ujrzał światło dzienne pierwszy saxophon.

Sax studiował muzykę początkowo w konserwatorium brukselskim, gdzie zyskał w klasie mistrza Bendera opinię wybornego klarnecisty. Nie mając środków na ukończenie kursu, powędrował wynalazca pieszo z Brukseli do Paryża, jako jedyne polecenie zabierając ze sobą, przewieszony przez plecy, okaz nowego instrumentu. Kilka groszy w kieszeni i młodzieńcza fantazja — oto środki, z pomocą których wędrowiec postanowił zdobyć świat. I powiodło się najzupełniej. Udało się Adolfowi zainteresować nowością wpływowych kompozytorów paryskich, szczególnie znakomitego Berlioza, który nazajutrz po zapoznaniu się z instrumenten rozpoczął reklamę w prasie. Dzielnie w tej akcji dopomogli Haléry i Auber, tak, że w efekcie zebrano kapitał i Sax założył pierwszy warsztat pracy — na razie utrzymany w rozmiarach skromnych, później powiększony. Wypuszczono na rynek typy instrumentalne: Piccolosaxophon (Soxophone aigu) w stroju es, saxophon-sopran w c lub b, saxophon alt w f lub es, saxophon-tenor w c lub B, saxophon-baryton w F lub Es, saxophon-bass w C lub B i wreszcie saxophon-contrabass w F lub Es.

Artykuły życzliwego Berlioza i energia Saxa miały wszakże następstwa ujemne: wzbudziły szaloną zazdrość paryskich fabryk instrumentów. Zmobilizowano wszystkie siły, aby utrącić niebezpiecznego konkurenta. Walka ciągnęła się nieomal przez całe życie Saxa i zatruła mu wiele chwil. Tymbardziej, że formy walki były wprost niezwykłe. A więc przekupiono dyrektora Saxowych warsztatów, aby rozmyślnie szkodził i rujnował właściciela. Namówiono (z pomocą odpowiedniej kwoty . . .) muzyków orkiestrowych, aby protestowali przeciw saxophonowi. Uwikłano wynalazcę z liczne procesy o plagiat przy współudziale fałszywych świadków i krzywoprzysięzców (których nigdy nie brakło). Co więcej: nasłano na warsztat autentycznych bandytów i obrabowano Saxa ze wszystkich prawie pieniędzy, tak, że dalsze prowadzenie przedsiębiorstwa było poważnie zachwiane. Równocześnie bezczelni rywale produkowali najspokojniej we wszystkich fabrykach paryskich instrumenty według koncepcji Saxa — co później udowodniły rewizje, zarządzone przez prokuratora.

Sax przezwyciężył wszystkie trudności i uzyskał na wystawie w r. 1844 srebrny medal. Ważniejszym sukcesem było przedłożenie państwu planu zupełnej reorganizacji francuskiej orkiestry wojskowej. Rząd, przychylając się do prośby wynalazcy, urządził na Polu Marsowym wielki konkurs orkiestr, w obecności tłumów Paryża. Mimo, że konkurencja przekupiła część muzyków Saxa, którzy chodzili regularnie na próby, a gdy nadszedł decydujący moment — w chwili występu, odmówili udziału w imprezie — zespół Saxa wywołał prawdziwy entuzjazm wśród krytyków i publiczności. Pierwszy atak saxophonów na Paryż w r. 1845 powiódł się na całej linii. Pułki francuskie wprowadziły u siebie nowy instrument, a gwardia republikańska do chwili wybuchu wojny 1939 r. używała 16 saxophonów. Posypały się na bohatera ordery i międzynarodowe złoto. Następne lata są pasmem triumfów. Wystawa w r. 1848 nadaje Adolfowi krzyż Legii Honorowej a sława saxophonu obiega Europę.

W międzyczasie Sax ciężko zachorował na złośliwy wrzód w ustach. I oto charakterystyczne zdarzenie: zgromadzenie najwybitniejszych lekarzy zapowiedziało bezapelacyjną śmierć i w ogóle nie chciało podjąć się żadnych zabiegów. Wtedy przyjaciele sprowadzili ordynarnego znachora, który, jak to często bywa, poskutkował wyśmienicie i ku hańbie powag medycyny Sax dożył osiemdziesiątki i jeszcze wiele (aczkolwiek już mniej ważnych) wynalazków uczynił w dziedzinie przemysłu muzycznego.

Sax umarł w Paryżu dnia 4 lutego 1894 r.

Saxophon znalazł zastosowanie w orkiestrach wojskowych wielu krajów. Aczkolwiek mile widziany w sferach kompozytorów, jednak nie zdołał przez długi czas zaaklimatyzować się w muzyce artystycznej; bądź co bądź próby jego wtargnięcia do dziedziny operowej i symfonicznej datują się od dawna. Do pierwszych zwolenników scenicznych saxophonu należy Thomas, który ułożył nawet solo na saxophon altowy Es w operze „Hamlet". Bizet wyzyskał instrument w „L'Arlesienne". Vinceut d'Indy w „Ferraal" i „La Legende de Saint-Christophe". Masseuet w „Mache héroique de Szabody". Verdi w „Falstaffie". Ryszard Strauss w „Sinfonia Domestica". Mimo tych usiłowań na ogół saxophon popadł w zapomnienie, aby zadziwić cały glob dopiero w epoce dancingów, jako jeden z najważniejszych instrumentów współczesnej orkiestry tanecznej, tzw. jazzbandu. Saxophon wkroczył nie tylko do muzyki stosowanej (marszowej i foxtrottowej), ale także do muzyki „czystej" i szczególnie upodobał sobie grunt opery eksperymentalnej itp. Berlioz w słynnej „Nauce Instrumentacji" prorokuje saxophonowi piękne jutro: „Główną zasługą (Saxa) jest stworzenie nowej rodziny blaszanych instrumentów o pojedyńczym języku trzcinowym i o ustniku klarnetowym. Są to saxophony. Te, dla orkiestry nowozdobyte głosy, mają pełną wartość. Łagodne, a przecież przenikliwe „w górze", pełne w brzmieniu „w dole", nacechowane wyrazem w środkowych pozycjach. Ogólnie mówiąc: bardzo charakterystyczny dźwięk — oddalony od tonu wiolonczeli, spokrewniony z klarnetem i rożkiem angielskim z przymieszką jakiejś napoły metalicznej barwy, która daje swoistą ekspresję. Korpus instrumentu składa się ze stożka blaszanego z klapami. Ruchliwe, do szybkich pasaży zdolne, tak samo, jak do pełnych gracji miejsc śpiewnych — nadają się saxophony do użycia z wielką korzyścią do każdego rodzaju muzyki, szczególnie do powolnych, subtelnych części".

„Wysokie tony niskich saxophonów mają w sobie coś skarżącego się, coś bolesnego; podczas gdy ich niskie tony wyrażają doskonały jak gdyby kapłański (!) spokój. Zdolni kompozytorzy będą umieli kiedyś wydobywać efekty, które w tej chwili przepowiedzieć trudno, z połączenia saxophonów z klarnetami".

Innym terenem ekspansji saxophonowej jest muzyka amatorska. Łatwość aplikatury sprawia, że saxophon staje się w ostatniej dobie ulubionym instrumentem domowym i usuwa w cień dotychczas tak popularne wśród amatorów skrzypce, które wymagają usilnej pracy, pilności a przede wszystkim czasu dla chociażby jako takiego opanowania.

Kazimierz Laudan

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

GODZINA MARZEŃ

Radek Dąbek jest poetą i literatem młodym, choć niewątpliwie utalentowanym. Od szeregu miesięcy zasypuje wszystkie miejscowe i zamiejscowe redakcje swoimi nowelami i fantastycznymi, tzn. w fantazji mającymi swe źródło reportażami. Emocjonuje szerokie rzesze czytelników każąc im przenosić się w myśli na dalekie stepy Ukrainy, innym razem w samo serce puszczy brazylijskiej, to znów zmuszając ich do poznawania dna i tajemnic poszczególnych oceanów.

Pędzi swoich cierpliwych sympatyków wprost z areny walki byków w Sewilli na popisy baletu na łodzie w zimowym pałacu sportowym w Berlinie. Zwiedziwszy wraz z czytelnikami cuda muzeum paryskiego, zaprasza i zachęca ich do wstąpienia na chwilę do lazurowej groty na Capri, aby wraz z nim posłuchali cudownego duetu sławnej pary śpiewaczej Giuseppa i Laury. Innym razem obwozi ich swoją gondolą po kanałach Wenecji i zatrzymawszy ich na chwilę pod mostem westchnień każe im przeżywać uczucie grozy i trwogi opowiadając im ponurą historię tego mostu.

A przecież Radek nie jest bywalcem, nic dotąd jeszcze ciekawego sam nie przeżył. Radek, jakkolwiek w świecie fantazji i zmyślonych przeżyć obraca się i czuje jak ryba we wodzie — jest to bardzo niepozorny młodzieniec ze Zwierzyńca.

Kilka razy dziennie przemierza tą samą trasę z domu do biura i naodwrót. Zna na pamięć w najdrobniejszych szczegółach rysy spotykanych po drodze osób, wnętrza nędznych wystaw sklepowych, nawet nad zagadnieniem mody i jej zmian nie musi się głowić, bo oto spotyka na swej drodze co dzień wytworną parę, trzymającą się ściśle kanonów mody.

Ona elegancka dama — szczęśliwa posiadaczka lisa srebrnego, kilku kostiumów prima sorte i co najmniej tuzina par bucików na korku — zatrzymuje się zawsze przed wielką firmą kolonialną — gdzie piastuje godność ekspedientki, on, uroczy jej towarzysz natomiast w nieskazitelnym garniturze, z wąsikiem i baczkami a la ks. Józef — jest pomocnikiem fryzjerskim.

Na tychże właśnie obiektach urządza sobie Radek studium nad zagadnieniem wymagań i kaprysów mody. Co prawda z obserwacyj swoich nie czyni użytku, bo Radek, jak już wyżej powiedziano to poeta z bożej łaski, niczym nie zwracający na siebie uwagi. Wszyscy przechodnie bez zaciekawienia patrzą na jego szarą, nikłą sylwetkę, na chorowitą, przemęczoną twarz i żadnemu z nich nie przyjdzie na myśl spojrzeć w rozjaśnione wewnętrznym blaskiem zielone oczy, które szeroko otwarte — ciekawie chłoną w siebie wszystko co na drodze, aby z nawału wrażeń, barw, dźwięków wydedukować dla siebie temat do nowego felietonu.

Lecz nie zawsze jest na co patrzeć.

Czasem idzie przez chlupcącą błotem ulicę, uwagę koncentrując tylko na tym, aby jak najmniej błota wlało mu się do przeważnie dziurawych trzewików. Wtedy przepycha się szybko przez gęstą, gryzącą mgłę, która, jakby szarym całunem przykrywa ciasne ulice, aby jak najwcześniej dostać się do domu.

W domu dopiero niedbale opiera łokcie o stół i położywszy brodę na dłoniach przymyka oczy, aby nie widzieć brzydoty swego pokoju, który musi dzielić z trojgiem młodszego rodzeństwa. I wtedy przed oczyma jego wyobraźni roztaczają się bezkresne horyzonty niewidzianych dotychczas krain, wabią go do siebie swoim rozmachem, pięknem i czarem największe miasta Europy, gra mu przed oczyma cała skala barw, lazur nieba, szmaragdy i szafiry wód, krwista czerwień zachodzących słońc, granat lasów majaczących we mgle świtu. Dźwięczą mu w uszach najpiękniejsze melodie dzieł muzycznych.

I z chaosu barw, dźwięków, gry świateł i cieni powstają obrazy — marzenia — jego przeżycia.

— — — — — — — — — — — — — —

Zaciszny, błękitny pokoik. Niziutkie, miękko wyścielane krzesełka. Puszysty kobierzec tłumi odgłos kroków. Tajemnicza cisza rozpostarła nad wszystkim.

Lecz Radek nie jest tu obserwatorem. Wygodnie zagłębiony w fotelu wpatruje się w wysmukłą sylwetkę siedzącej przy fortepianie kobiety. Ze skupieniem śledzi przygotowania do gry. W chwilę później słyszy, jak spod uderzenia delikatnych palców płyną subtelne tony wytwornego cis-mol walca Szopena. Białe, szczupłe palce wyczarowują na klawiaturze tęsknotę i marzenie. Brak fanfar radości; głęboki ból liryczny spływa wraz z mocnymi akordami do duszy Radka, schylającej się skronie nisko, bardzo nisko. Nie to, że w ritornellach widzi się przestrzeń, jasne, cieplejsze niebo — duch znużenia i niepokoju wraca, aby do ostatniego krótkiego cis dać poznać słuchaczowi głębię przeżycia.

Radek wstrzymuje oddech, by nie uronić ani jednego tonu tej elegii.

Dopiero, gdy znużone dłonie Renaty kładą się bezgłośnie na klawiszach — zbliża się Radek do pianistki, aby, wziąwszy ją w ramiona, może po raz ostatni złożyć pocałunek na jej ustach.

Nie mówią nic do siebie w ten wieczór pożegnania, chociaż za kilka godzin dymiąca parą lokomotywa uniesie go w świat, ku nowej przyszłości, ku nieznanym szlakom.

— — — — — — — — — — — — — —

Stolica nad Sekwaną. Bulwary Paryża roją się od barwnego, żywego tłumu. Jak na sieci pajęczej rozpostarte w powietrzu setki lamp elektrycznych i kolorowych lampionów dają złudzenie białego dnia. Tłum przewala się ulicami i placami z transparentami i śpiewem. Domorosłe tancerki na wolniejszych przestrzeniach produkują swoje wyczyny choreograficzne.

To rocznica nocy św. Bartłomieja, na pamiątkę której wszystkie warstwy społeczne łączą się w zbiorowym szaleństwie bezładnej, nieskrępowanej żadnymi rygorami, kipiącej życiem zabawy. Powietrze drży i faluje od wrzawy, nawoływań, kaskad śmiechu, okrzyków nadaremnie usiłujących zapanować ponad dźwiękami orkiestry.

Wmieszany w kolorowy tłum — przepycha się Radek nie zważając na zaczepki fertycznych, filigranowych reprezentantek płci pięknej — starających się za wszelką cenę swobodnym gestem i uśmiechem wciągnąć go do zabawy. Opiera się Radek urokowi tej szaleńczej nocy bo i tu prześladuje go wspomnienie wdzięcznej postaci Renaty, jasnowłosej pani błękitnego pokoiku, jej pięknych jak niebo oczu, wpatrzonych w niego ufnie i z miłością.

Manewry jego i zabiegi, aby wydostać się z tego chałaśliwego tłumu palą na panewce, nie łatwo jest bowiem wyrwać się z sideł gryzetek paryskich w noc św. Bartłomieja. Właśnie jedna z nich młoda, smukła, płomiennooka, bez żenady zarzuca mu ręce na szyję i wdzięcząc się frywolnie w takt muzyki zaczyna nim obracać. Radek podnieccny bliskością swej pięknej partnerki daje ponieść się nastrojowi i żartobliwie zaczyna indagować swą prześladowczynię.

— Comment t'on appelle?

— Nanette — odpowiada wesoła ślicznotka i niespodziewanym gorącym pocałunkiem uzupełnia swoją prezentację.

Szybko zaczyna biec czas Radkowi. Wciągnięty w wir zabawy tańczy, śmieje się, śpiewa . . .

Zacierają się w pamięci jego wspomnienia, od czasu do czasu tylko jakby we mgle mające mu lazurowe oczy Renaty — lecz gryzetki paryskie zwietrzywszy w nim obcokrajowca — jeszcze z większym uporem atakują go, domagając się komplementów i pocałunków . . .

Godziny mijają niepostrzeżenie . . .

Czerwona tarcza wschodzącego słońca zastaje na ulicy już tylko najbardziej wytrwałych i niestrudzonych miłośników tej oryginalnej zabawy.

Zmęczony tłum zdąży! już rozejść się do swoich domów, aby złożyć zamroczone alkoholem głowy do snu, który wraca się i nieraz przynosi spełnienie marzeń, którym nie było danem spełnić się na jawie.

Znużony i oszołomiony Radek pożegnawszy czule swe przygodne znajome, chwiejnym krokiem udaje się do tunelu kolejki podziemnej, która zawiezie go i wyrzuci przy Rue de la concorde, w okolicy której udało mu się wyszukać i wynająć za bezcen u sympatycznego handlarza antykami małą izdebkę na poddaszu. Radek dobrnąwszy do swojego apartamentu ma tylko czas przyprowadzić do ładu swoją garderobę i toaletę i szybko bez śniadania spieszy na wykłady do uczelni.

— — — — — — — — — — — — — —

Sorbona. Rzęsiście oświetlona sala inauguracyjna — wypełniona dziś po brzegi.

Na podium w stallach siedzi prezydium uczelni. Siwiuteńki jak gołąbek, sympatyczny profesor Vicillard po wręczeniu Radkowi dyplomu, ściska go po ojcowsku i serdecznym gestem zaprasza do wejścia na katedrę. Radek jest szczęśliwy szczęściem, które dają zawsze trudy i wytężona praca długich lat, uwieńczona wspaniałym rezultatem. Jak we śnie występuje na podwyższenie i zwrócony do publiczności, złożonej z przedstawicieli obu płci i różnych ras — odzywa się w te słowa:

— Mes chèrs collègues et auditeurs!

Los pozwolił mi wśród was przeżyć kilka lat w atmosferze koleżeńskiej współpracy. Zaszczytna, dzisiejsza uroczystość habilitacji mej zobowiązuje mnie do tego, aby po powrocie do rodzinnego kraju na powierzonej mi placówce — krzewić tę naukę i kulturę, którą nabyłem tutaj u źródła wiedzy i sztuki.

I wam, czcigodni panowie profesorzy — opuszczając progi waszej uczelni pragnę złożyć serdeczne podziękowanie za opiekę i bezinteresowną pomoc jakiej użyczacie młodzieży nawet obcokrajowej — wypełniając swe szczytne zadania szerzenia oświaty i sztuki daleko poza granice waszego kraju.

Huczne oklaski zgromadzonych gości są odpowiedzią i wyrazem uznania dla świeżo promowanego docenta filozofii.

Jedną z pierwszych osób, które podchodzą do Radka, aby winszować mu zasłużonego sukcesu jest Renata. Ubrana w popielaty, wytworny kostium podróżny z wiązanką ponsowych róż na ręku — wygląda prześlicznie. Wzruszona, ze łzami w oczach gratuluje Radkowi powodzenia i osiągnięcia zamierzonego celu. Sukces dzisiejszy umożliwi im bowiem połączenie na dalsze losy ich dróg i serc.

Czekająca przed gmachem uczelni limuzyna, zasypana przez przyjaciół kwiatami — unosi ich na ostatnią przejażdżkę po Paryżu, tym mieście, które ziściło wszystkie marzenia Radka.

— — — — — — — — — — — — — —

Ostatnie wiązanki kwiatów wpadają przez otwarte okno do wnętrza wagonu. Ostatnie uśmiechy, przypomnienia i obietnice. Miarowy, z początku wolny, potem szybszy, coraz szybszy stukot kół głuszy ostatnie słowa i pociąg ruszający z Garde d'Est unosi Radka i Renatę ku nowemu jutru, szczęśliwej — bo wspólnej już odtąd przyszłości.

— — — — — — — — — — — — — —

Marzenia i obrazy w szalonym tempie przesuwają się przed oczyma duszy Radka. Rozparty całkiem niedbale na krześle nie widzi, że spracowane ręce matki stawiają przed nim na stole talerz dymiącej zupy, a stroskany głos matczyny mówi:

— Radek, jedzno chłopcze, marzeniami tyłko żyć nie można.

Pochyla się głowa Radka nad ręką matki w serdecznym pocałunku, a w rozsłonecznionych, zielonych oczach maluje się nadzieja . . .

A może . . .

Digna

BAŚŃ SZUMIĄCEGO WICHRU

Gdy Boży Duch stworzył raj, rozkazał wiać w nim lekkiemu zefirowi, aby ochraniał przed palącymi promieniami słońca, żyjące w nim stworzenia.

Zimnego, szumiącego ponuro wichru, nie było jeszcze w raju. Żyły tam tylko rośliny i zwierzęta. Zwierzęta żywiły się wyłącznie pokarmem roślinnym.

Miłowały się wzajemnie, nie czyniąc sobie żadnej krzywdy. Boży Duch po stworzeniu raju spoczywał wśród mieniących się pasów tęczy, słuchając hymnu, który gwiazdy komponowały. Z jego to przykazania najpierwsza, najmniejsza obracająca się na najdalszym kręgu wszechświata rozpoczynała akord pieśni: potem druga, trzecia, czwarta i wszystkie ile ich jest, dodawały swój ton. Nieukończone to jeszcze dzieło, bo gwiazd jest bez liku. Nastanie wreszcie taki czas, kiedy gwiazdy ułożą pieśń i wtenczas kolejno popisywać się będą osobno przed Bożym Duchem. Trwać to będzie długo, bardzo długo. Niepodobna pojąć, ani obliczyć.

Boży Duch słuchał hymnu gwiazd, gdy w raju toczyło się życie. W najciemniejszym zakątku rosło tam osobliwe drzewo, rodzące kwiaty, które nigdy nie otwierały kielichów, lecz wraz z płatkami złotymi opadały w trawę.

Zakazany kątek ogrodzony był żywopłotem z kaktusów, a strzegł go największy i najsilniejszy tygrys.

Wygrzewał się do słońca bezczynnie, bo żadne zwierzę w raju nie znało jeszcze ciekawości i nie przekraczało prawa Bożego Ducha.

Niewinne cielęta przynosiły mu w pyszczkach strawę — winne grona i pomarańcze. On bawił się z nimi, igrał jak młody kot.

Boży Duch przerwał spoczynek wśród pasów tęczy. Przestał słuchać gwiezdnego śpiewania. Stąpił do raju i stworzył człowieka.

Płynęły lata. Dziesiątki i setki. Po ścieżkach raju przebywało już wielu ludzi. W myśl rozkazania Bożego Ducha mnożyli się i czerpali pełną garścią z dostatków życia. Przechodzili obok zwierząt i nie rozumieli ich mowy. Zwierzęta także nie zwracały na nich uwagi. Ludzie znali ciekawość. Wędrowali po raju, wymyślali stroje i narzędzia. Oglądali zwierzęta i rośliny i przekraczali prawa Bożego Ducha.

Pewnego razu dwaj najodważniejsi spośród nich podeszli do zakazanego kątka. Bardzo stary już tygrys spał mocno. Nie obudził się gdy ludzie przeskoczyli żywopłot i zwinniej od małp wspięli się na drzewo.

Siedząc tam, zrywali złote kwiaty i otwierali w nich kielichy. Z otwartych kielichów posypał się delikatny ciemny pyłek. Lekki wiatr począł rozsypywać go po całym raju. Pyłek padał na rośliny, na ludzkie oczy, uszy i usta i na zwierzęce nozdrza.

Niezrozumiały dziw ogarnął raj. Rośliny poczęły drżeć w przerażeniu. Wszystkie zwierzęta biegały oszalałe dokoła. Ślepia ich napełniły się krwawymi błyskami.

Ludzie potrącali się w bójce, lub spieszyli do starych cisów, wyłamując z nich kije na maczugi. Kijami tymi zabijali słabsze zwierzęta. W raju polała się po raz pierwszy krew. Oburzony tygrys widząc przekroczenie prawa Bożego Ducha zawrzał gniewem. I wywarł go na przechodzącym obok niewinnym cielątku. Pochwycił go w pazury i odgryzł mu łeb. A potem długo, ze złowrogim pomrukiem chłeptał gorącą krew i łamał szczękami kości.

Wilk poniósł jagnię do krzaków, mordując bezbronne. Ludzie łamali maczugi cisowe. Zabijali nimi zwierzęta i siebie nawzajem.

I właśnie Boży Duch przerwał słuchanie hymnu gwiazd i zstąpił do raju. Posłyszał jęki, skargi, poczuł zapach krwi. Zadumał się długo i smutno.

Z tego to westchnienia Bożego Ducha, powstał szumiący ponuro zimny wiatr. Jemu to Boży Duch rozkazał wypłoszyć z raju wszystko żywe stworzenie, a wraz z nimi i pyłek z kwiatu zakazanego drzewa. Nasienie tego pyłku okrywało w sobie zarodki zła i nienawiści. Szumiący wiatr posłusznie spełnial swą powinność.

Wiał długo i przeciągle. Zimnymi podmuchami gonił uciekających przed nim ludzi i zwierzęta. Za nimi na rozkwitłą ziemię biegł złonośny pyłek wkradając się w serca ludzkie i ciała zwierzęce.

Dlatego zimny, szumiący wiatr do dziś dnia przepłasza z ziemi zarodki zła i namiętności. Ponury jest i smutny, bo wiele zła ukrywa się w duszach ludzkich.

Niewiadomo kiedy skończy pracę, może wcześniej gwiazdy ułożą swój hymn i odśpiewają go przed Bożym Duchem.

Może wcześniej spowiadać będzie On sądy, w płomieniach pękających gwiazd.

Wiatr od wieków szumi i płacze nad ziemią.

Opowiedziawszy mi tę baśń, ponuro szumiący wiatr odleciał od mojego okna, w zimową śnieżną zawieję.

Stanisława Nowakówna

PANI DOKTOR

Dr. Helena Brzeska starszy asystent oddziału chirurgicznego, siedzi na dyżurce lekarskiej i podpisuje historie choroby pacjentów wypisanych dnia tego ze szpitala. Z zadowoleniem konstatuje, że ostatnie jej operacje dały doskonałe wyniki. Dziś odchodzi wyleczony (jej „oczko w głowie" jak go koledzy nazwali), pacjent po resekcji żołądka. Miesiąc temu przywieziono go w stanie beznadziejnym do szpitala. Z drwiącym uśmiechem przyjęli lekarze wiadomość, że decyduje się go operować. Z niedowierzaniem, a potem z podziwem patrzyli jak przy pomocy dwóch asystentów manipulowała szybkimi, pewnymi ruchami skalpetem, nożyczkami i imadłem w jamie brzusznej. I operacja się udała. Dziś na wizycie profesor powiedział, że jest z niej dumny. Jest zadowolona ze siebie. Jej wysiłki nie poszły na marne.

Ciche pukanie. Wchodzi siostra dyżurna.

— Nagły wypadek z prowincji, czy pani doktór każe przyjąć.

Bierze do ręki skierowanie lekarskie. Dziwnie znajome, nigdy niezapomniane pismo. Ogarnia ją fala wspomnień.

Dziesięć lat temu, list napisany tą samą ręką wpłynął na jej dalsze życie. Była młodą studentką, — którą burza wojenna zapędziła do szpitala w poszukiwaniu pracy. Została przyjęta jako pielęgniarka na oddział chirurgiczny. I tam poznała jego . . . Był początkującym lekarzem, kochał medycynę i chciał zostać chirurgiem. Od chwili poznania wiedzieli, że coś ich ku sobie ciągnie. I od początku zaczęli się unikać. Po miesiącu zabrakło silnej woli. Zaczęły się wspólne dyżury, spacery, rozmowy. Stali się prawie że nierozłączni. Było im dobrze ze sobą. Wieczorem po pracy, przychodził do jej pokoju i uczyli się razem. Pokochała jego i jego chirurgię. Każdy jego zabieg, każdą operację, przeżywała razem z nim. Po udanej operacji wpadał jak bomba do niej na dyżurkę, zasypywał „swą kićkę" gradem pocałunków i wykonywał z nią dziki indiański taniec. Po niepowodzeniach siadywał na ziemi u jej stóp, kładł głowę na jej kolanach, a ona w milczeniu gładziła jego włosy. Była tak szczęśliwa . . . i myślała, że to się nigdy nie skończy. Tymczasem po roku przeniesiono go do innego szpitala. Wyjechała z jego obrazem w sercu i z myślą, że nic się nie zmieni. Początkowo były kochane gorące listy, potem spokojne . . . milczenie . . . i ten ostatni list.

„Na szczęście czas i odległość robią swoje. Muszę Kićka opuścić. Dla umożliwienia dalszych studiów i — dla moich staruszków to robię. Żenię się."

Nie chciała początkowo wierzyć, ale w końcu uwierzyła. I zaczęła szukać zapomnienia w nauce. Kuła, kuła, kuła. Po dwóch latach dowiedziała się, że jest dalej lekarzem w małym miasteczku, że ma żonę i dziecko i powoli zapomina o swej kochanej chirurgii.

Postanowiła go przewyższyć. Długie lata przepychała się łokciami przez studia i zdobywanie własną pracą chleba.

I przewyższyła go. Zdobyła uznanie profesorów, podziw kolegów i wdzięczność pacjentów. I zdawało się, że była zadowolona, a tymczasem . . . w tej chwili zdała sobie sprawę, że chętnie rzuciłaby to wszystko i . . . była szczęśliwa przy nim, w małym domku na końcu miasteczka, wychowując dzieci, cerując jego fartuchy i zwijając bandaże. Większą radość sprawiłoby jej asystowanie mu do przecięcia zanokcicy, aniżeli jej podziwiane operacje. Móc być blisko niego, patrzeć w te kochane zielone oczy i gładzić na pewno już przyprószoną siwizną czuprynę. Ach! . . . Ocknęła się z zadumy.

— Siostro, proszę przygotować pacjenta do zabiegu.

Zapaliła papierosa. Włożyła gumowy fartuch i szybkim energicznym krokiem poszła się myć do operacji.

I. K.

DWIE ŁZY

Wieczorem gdzieś na piętrze śródmiejskiej kawiarni
Stoliki dostawione nawet na estradzie.
W rozgłośnym, ulnym gwarze i w dymach palarni
Grasz najnowsze „szlagiery" spotniałej gromadzie.

A duszą także bardzo stąd jesteś daleki,
Wiem o tym, wiem, wspominasz obrazy przeszłości —
Widziałem jak ci kiedyś gorzka spod powieki
Wyciekła łza — gdyś grał fokstrota publiczności.

Dziś znów tu jesteś by wypełniać przerwy
W śpiewie lekkich piosenek znanego tenora,
Co taki jest szykowny, co ma tyle werwy,
A jaki jest przystojny, każda przyznać skora.

A ty? Czymże ty zwrócisz na siebie uwagę? —
Wszak gwar wtedy ucicha, gdy śpiewak przychodzi,
Potem nad fortepianem znów gwar ma przewagę,
Bo to że grajek „brzdąka" tłumowi nie szkodzi.

Lecz była jedna chwila obaj pamiętamy,
Jak między gwar i hałas rzuciłeś Chopina,
Jak fraza się rozrosła, brzmiała akordami,
Że głupstwa pleść przestali: Jaś, Władek, Irena.

Jak potem cię podniosły ze stołka oklaski,
A jakiś pan z łysiną krzyknął basem brawo!
A tyś się kłaniał skromnie, w oczach miałeś blaski —
I — łzę szczęścia otarłeś odwrócony w prawo.

M. Kralkowski

ZDRADA

Niech zdrada twa będzie piękną, jak uśmiech poranka,
Nie kryj jej trwożnie w ciemnym nocy cieniu.
Niech prosto w oczy spojrzy twa kochanka
Mnie — i mojemu wielkiemu cierpieniu,
I niechaj nie drwi obca i daleka
Z bólu, co przecież i ją kiedyś czeka...

O zdradzie twej mów jasno, otwarcie i szczerze.
(I ja wszakże kochać wiecznie nie potrafię!)
Nie plam jej kłamstwem, w które nie uwierzę,
Po prostu listy przyślij mi i fotografie...
Uśmiechnę się wtedy smutno: „Przyjacielu!
Przeżyliśmy historię jedną — z bardzo wielu!"...

Krystyna Wajcht

WIECZNI TUŁACZE

Błądzą wśród bezkresnych, szmaragdowych wód,
tułając się wśród dwóch odległych lądów —
płyną na życia krze, zimnej jak lód,
uderzani falą,
w odwiecznych siłach nieznanych prądów.

Błądzą wśród nieba i wśród morza mocy,
tułając się w krainie syren we władztwie korali
próżno szukając jasnego blasku wśród ciemnych
na rozhukanej, [nocy,
zdradzieckiej fali.

Błądzą — i biedni lądów nie widzą,
szukając próżno ułudnych morza dróg,
błądzą wciąż, bo z wiary szydzą,
bo ich okrętu,
nie prowadzi Bóg!

Urszula Malińska

HANUSIA

Hanusia moja, złotowłose cudo,
Ma opalone, z mgły morskiej, oczęta —
Nijaką nigdy nie mętne obłudą,
Którymi patrzy na mnie jakby święta!

Lecz choć niekiedy skłoni główkę ku mnie,
Wnet ją ócz moich rozmodlenie płoszy
I z pąka ust swych wciąż mi zbrania dumnie
Choćby najkrótszej zaczerpnąć rozkoszy...

Hanusia moja nie kocha mnie wcale,
A że się prawdzie moich uczuć broni,
Ani się smuci, kiedy się oddalę,
Ani weseli, gdy znów wracam do niej.

Jej młodej główce marzy się kto inny,
Bo nie zna jeszcze ni świata ni ludzi,
I nie wie jeszcze jej umysł dziecinny,
Jaka ją jutro tajemnica zbudzi...

Hanusia moja swoje drobne dłonie
Oddała pracy na kawałek chleba,
A jaki od niej czar rozkoszy wionie,
Jakby mi błękit odchylała nieba!

Więc tęsknię do niej, w męce dni bolesnej,
By usłyszała serca mego lament —
I wybawiła od śmierci zbyt wczesnej,
I swego życia dała mi sakrament.

Józef Krobicki

WIECZÓR W PARKU

Po cóż ci wołać? Sam przyjdzie wieczór — cichy twej błogi zwiastun — zamknąć usta zgiełkliwe w mrok wtulonemu miastu.

Sam przyjdzie chwile uwikłać w klomby, ogołocone z kwiecia i może każe być ci najsamotniejszym w świecie.

Naśle na ciebie kasztany — otyłych ogrodu strażników, gawiedź otoczy półkolem bez szemrań i krzyków.

Bezbronnym drzewa porwą w świata swego najdalszy zakątek, i będziesz mógł tam podumać: kulawych dni pątnik.

Gwiazdy cię porwą, z nieba migocąc, w wir szczerego kochania, że sercem do nich przylgnąwszy już się nie rozstaniesz.

Dlaczego potrzysz jesiennie, skoro szczęście przychodzi samo, wieczorem, do parku, twych marzeń otwartą bramą?

Bolesław Michał Soczyński

PROŚBA

Do Ciebie, któryś na niebios przestworzu
Umieścił słońca światło promieniste,
Któryżeś stworzył na ziemi i morzu
Wszechmocą swoją cuda oczywiste,

Do Ciebie, któryś rzucił w wszechświat wielki
Ogromnych planet tysiące milionów,
Któremu winien życie jest stwór wszelki
Od wieloryba do maleńkich glonów,

Do Ciebie, wznoszę swoją prośbę łzawą,
Jak ptak, co z gniazda wychyliwszy szyję,
Skoro spostrzeże zachodzącą, krwawą
Łunę, dzięki Ci składa, że żyję.

Później śpiewając melodyjnym głosem
Prosi Cię Stwórcę, byś go uszczęśliwił
Byś go obdarzył jak najlepszym losem
Byś go odziewał i żebyś go żywił,

Tak ja do Ciebie, Panie głos podnoszę
Ja, która żyję w ludzi wielkim tłumie,
Lecz nie o jadło i bogactwo proszę
Tylko o serce, które mnie zrozumie.

L. Nowakowska

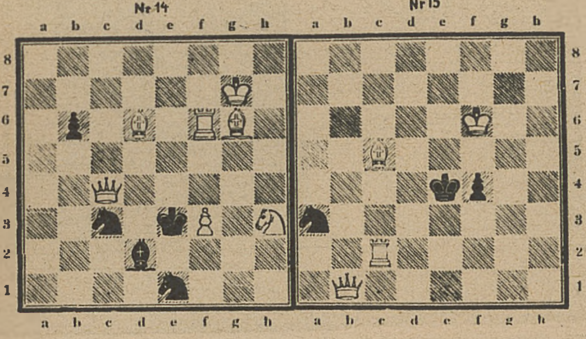
KĄCIK SZACHOWY NR 6

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

4. O ATAKOWANIU I SZACHOWANIU

O bierce mówi się, że inną atakuje wtedy, jeśli tak rusza, że mogłaby bić ją (grozi jej biciem) w następnym ruchu, w razie gdyby przeciwnik nie przeszkodził czemu ten może często, lecz nie zawsze zapobiec.

Ruch atakujący króla przeciwnika nazywa się szachem i jest zwyczaj oznajmiania o tym partnerowi słowem „szach królowi" albo w skróceniu tylko „szach". Król zaatakowany (czyli zaszachowany) stoi pod szachem. Partner z obozu króla zagrożonego może mieć odpowiednio do okoliczności 3 różne sposoby obrony. Albo może istnieć możliwość bicia szachującej bierki, albo przesunięcia króla na inne pole niezagrożone, lub też w końcu posunięcia swojej własnej bierki w ten sposób, że ta przerywa kierunek działania bierki szachującej (diagram Nr 14). Ostatni proceder nazywa się zasłonięciem (lub zasłoną) przed szachem, lub obrona szacha. Oczywiście są pozycje z wszystkimi trzema możliwościami obrony przed szachem, są inne z dwoma a także z jedną tylko możliwością obrony, wreszcie i takie, że nie ma żadnej możliwości obrony (t. zw. mat, o czym w następnym rozdziale będzie mowa). Nie wolno pozostawić swego króla pod szachem. Grający, którego król jest pod szachem i który robi posunięcie, nie broniące króla od szacha (tzn. pozostawiając króla w szachu) winien to posunięcie cofnąć i bronić się przed szachem w miarę możności za pomocą dotkniętej bierki. W pozycji diagramu Nr 14 mogłyby np. białe ruszyć hetmana z c4 na c5 ze szachem, gdyż hetman atakuje króla czarnego. Król czarny może się bronić w tym wypadku dwoma z pomiędzy wymienionych sposobów albo bijąc pionem b6 szachującego hetmana albo usuwając swego króla na pole e2. Na inne pole nie może ujść król, gdyż byłby zabitym. Biały hetman mógłby też posunąć się z pola c4 na pole e6 szachując króla przeciwnika. Czarne mogą obronić tego szacha przesuwając swego skoczka z pola e3 na e4. W ten sposób byłby przerwanym atak hetmana białego na króla czarnego przez zasłonę skoczkiem czarnym, który przesłania (zagradza) mu drogę. Bierka może więc sama szachować, lecz może także uwolnić kierunek działania figury swego obozu na króla przeciwnika, który dotychczas zasłaniała przez swój ruch. Szach ostatnio opisany, który jest dokonanym przez uwolnioną bierkę nazywa się szachem odkrytym lub szachem odsłoniętym (przez odsłonę). Pozycję przed odkryciem przedstawia diagram Nr 15. Jeśli figura odsłaniająca szachuje sama, wówczas taki szach nazywa się szachem podwójnym (notacja wyraża to podwójnym krzyżykiem na końcu notacji ruchu Wc2—e2++). W przykładzie diagramu Nr 15 wieża biała z pola c2 wykonuje szach odkryty, gdyż odsłania działanie białego hetmana na króla czarnego na polu e4, który był dotychczas zasłoniętym przez wieżę. Jeśli wieża rusza na jedno z pól a2, b2, d2, f2, g2, h2, c1, c3 to powstaje ruch odkryty przeciw któremu mogą się bronić czarne na 3 sposoby, albo tak, że skoczek czarny bije hetmana białego na b1, albo skacząc na pole c2 i zasłaniając tym samym szacha, albo robiąc ruch swoim królem. Jeśli wieża c2 idzie na pole e2 lub c4, wówczas szachuje nie tylko wieża sama, lecz także równocześnie hetman b1. W obu ostatnio przedstawionych wypadkach mamy do czynienia z podwójnym szachem. Ponieważ w tych wypadkach szachują równocześnie 2 figury — wieża i hetman — nie mogą czarne bronić swego króla w ten sposób, że skoczek a3 bije hetmana b1, gdyż wtedy król czarny stałby pod szachem wieży (e2, wzgl. c4). Czarny król musi więc opuścić swe pole i pójść na pole d5 lub f3, gdzie znajdować się będzie na razie poza obrębem działania figur przeciwnika.



CZĘŚĆ OGÓLNA

PROBLEM NR 2

Wróbel Marian („Zadanowiec" 1943)

Czarne: Kb8, Hg5, Wa3, Wc7, Ga7, Sb3, Sb4, piony: a5, b6, c3, d3, d4, e6, f7, h6 (15).
Białe: Kb5, Hh2, Ga8, Gd6, Se5, pion: b7 (6).
3-chodówka 6+15 = 21.
Mat w 3 posunięciach.

ROZWIĄZANIE KOŃCÓWKI (STUDIUM) NR 2

(Mattison): 1. S—f7+ K—g8 2. a7 W—e6+ 3. K—d1 W—e8 4. S—d6 W—d8 5. S—f5! (A) G—f8 6. b6 G—c5 7. S—e7+ K dow. 6. S—c8 W×c8 7. b7 i wygrywa.
(A) 5. b6? G—d4 6. S—c8 W×c8 7. b7 W—e1+! 8. K×e1 G—a7.

PARTIA NR 4

Białe: Rügamer — Czarne: Weber
grana w Starnberg w r. 1941.
Gambit hetmana.

1. d2—d4 Sg8—f6
2. c2—c4 d7—d5
3. c4×d5 Hd8×d5
4. Sb1—c3 Hd5—d8[1])
5. Sg1—f3 e7—e6
6. e2—e4 Gf8—b4
7. Gf1—d3 c7—c5
8. d4×c5 Hd8—a5
9. Gc1—d2 Ha5×c5
10. 0—0 Gc8—d7[2])
11. Wa1—c1 Gb4×c3
12. Gd2×c3 Hc5—e7
13. Hd1—b3 Gd7—c6
14. Gc3—b4 He7—d8
15. Wf1—d1 Hd8—b6
16. Hb3—c3[3]) a7—a5
17. Gb4—a3 Sb8—d7
18. h2—h3[4]) Wh8—g8
19. Sf3—e5 Gc6×e4
20. Se5×d7 Hb6—c6
21. Gd3—b5! Sf6×d7
22. Wd1×d7[5]) Hc6×c3
23. Wd7—d5 Czarne poddały się.

UWAGI:

1) 4 . . . H—a5! należało grać.
2) 10 . . . 0—0? 11. e5 poczym G×h7+
3) Grozi G—a5 zdobyciem czarnego H. Czarne nie mają dobrych ruchów.
4) 18. S—e5? S×e5 19. H×e5 H×f2+ 20. K×f2 S—g4+!
5) 22 . . . H×d7 23. H—c8.
22 . . . H×b5 23. W—e7 K—f8 24. H—c8 W×c8 25. W×c8 H—e8 26. W×f1 mat.

— Bogata, ale o jednej tylko ręce panna, szuka męża w dzisiejszej gazecie.
— Wiesz, taka, toby była dla mnie w sam raz na żonę.
— Dlaczego?
— Bo jak będzie w nocy otwierać mi drzwi, to trzymając świecę w jednej ręce, nie będzie miała drugiej na szczotkę lub pantofel.

*

— Pan już długo żonaty?
— Żona powiada, że sześć lat . . ale mnie się zdaje, że to już okropnie dawno.

*

— Cóżeś ty swoją teściową przywiózł ze sobą na polowanie?
— Namówiłem ją, że to ciekawe rzeczy . . . Bo uważasz, a nużby się kto przy wystrzale pomylił?

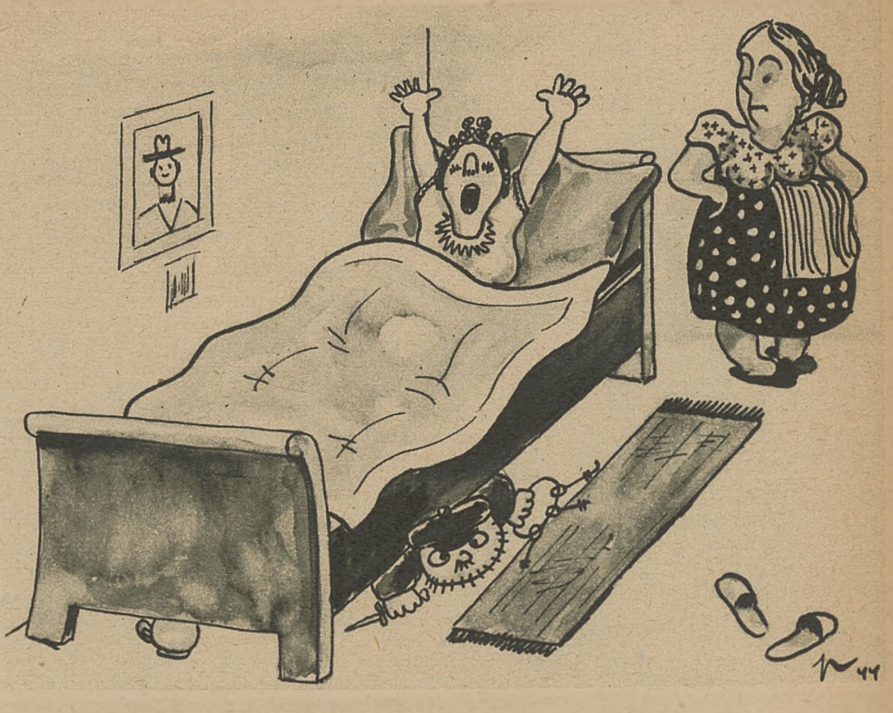
*

Sędzia: — Te wszystkie wykręty na nic się nie zdadzą, mój Wasiński! Już ja cię znam zanadto dobrze!
Oskarżony: — Na miejscu pana sędziego nie chwaliłbym się takimi znajomościami.

*

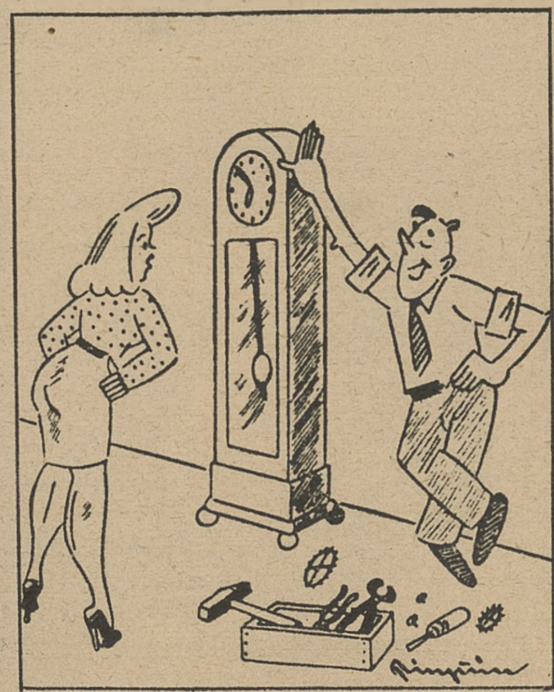
— Przypomina pan sobie koleżankę z uniwersytetu, pannę Genię?
— O bardzo dobrze. Komiczna to była postać. A jaka głupia!!! Nie wie pan co się z nią stało?
— Jest moją żoną.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



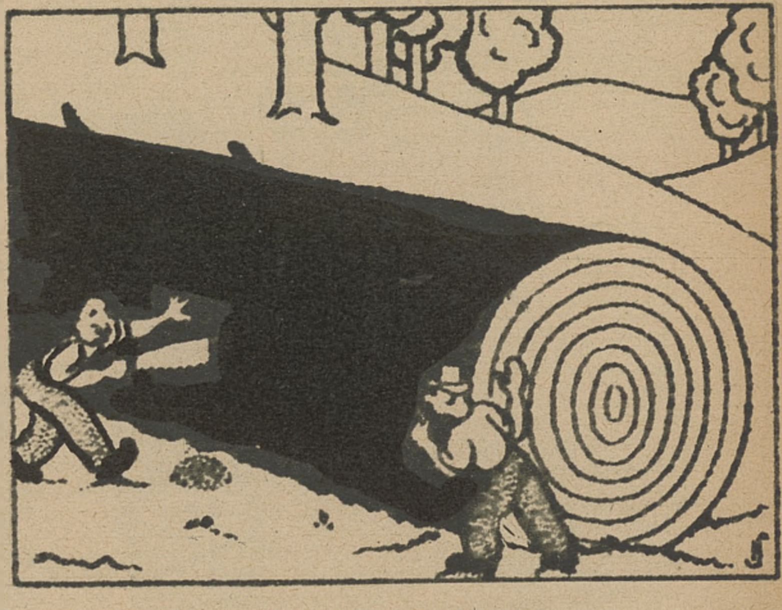
— Gwałtu! Na pomoc, Kasiu! Jakiś mężczyzna leży pod moim łóżkiem!
— Właśnie widzę i jestem zdziwiona dlaczego on jest pod łóżkiem!...

Rys. J. Paluch — Kraków



— No, nareszcie sam naprawiłem nasz zegar! Idzie znakomicie! Ale musisz tylko pamiętać kochana, że gdy pokazuje godzinę dziewiątą, a wybija jedenaście, to wtedy jest dokładnie za sześć minut trzy kwadranse na piątą!...

Die Grüne Post



MIĘDZY DRWALAMI
— Ja chciałem tylko skontrolować czy ty na pewno jeszcze rżniesz ze mną drzewo.

Rys. Schroeder

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Sędzia: — Oskarżony pobił świadka i poranił go uderzaniami kołem w głowę.
Oskarżony: — Panie sędzio, to nieprawda! ja go nie biłem w głowę, tylko w czapkę!
Świadek: — Tak! ale w tej czapce ja miałem głowę!
Oskarżony (z wyrzutem): — A dlaczegóż mi Wojciechu nie powiedzieliście tego od razu? . . .

*

Nauczycielka: — Wytłumaczyłam wam na przykładzie, co znaczy słowo „odpowiedzialność". Czy poda mi ktoś inny przykład?
Mietek: — Owszem proszę pani! Odpadły mi przy spodniach wszystkie guziki z wyjątkiem jednego. Na tym jednym guziku ciąży cała odpowiedzialność.

*

. . . Archimedes — czyta uczeń głośno — wyskoczył z kąpieli i zawołał: „Heureka, heureka!" . . .
— Czekaj — przerywa profesor — co to znaczy: „Heureka"?
— Heureka — odpowiada uczeń — znaczy: „znalazłem".
— Bardzo dobrze. A teraz powiedz mi, co takiego Archimedes znalazł.
Uczeń chwilę się namyśla a potem mówi: — Pewnie mydło, panie profesorze.

*

Pewnego malarza starszej daty pyta ktoś:
— Dlaczego wszystkie anioły na pańskich obrazach mają czarne włosy?
— Moja żona jest blondynką — odpowiedział artysta.

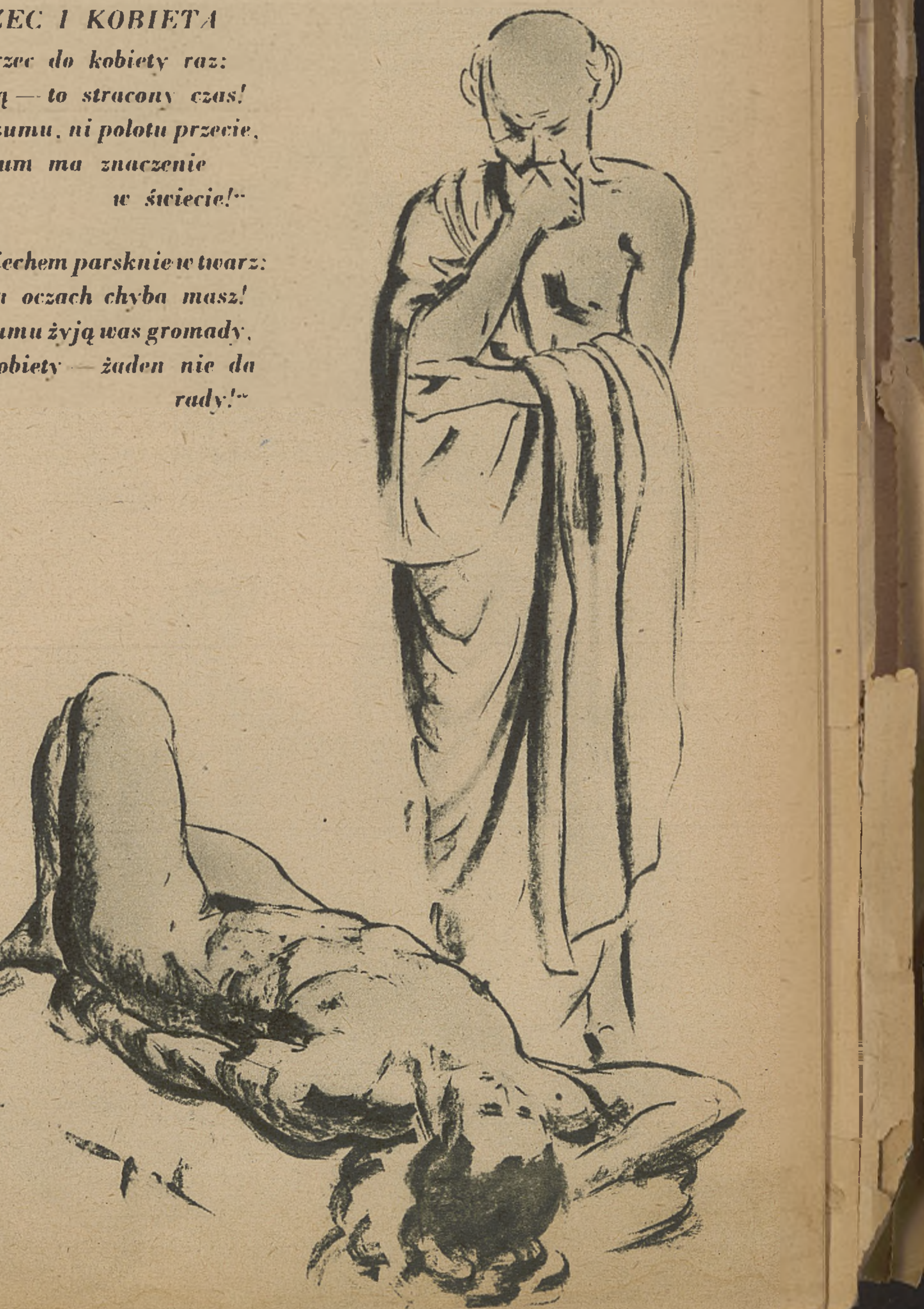
*

W tym podartym kostiumie nie mogę grać króla, panie dyrektorze!
— Nie szkodzi, powie pan, że pańscy poddani zalegają z podatkami.

MĘDRZEC I KOBIETA

Rzekł mędrzec do kobiety raz:
„Gra z tobą — to stracony czas!
Za grosz rozumu, ni polotu przecie,
A jeno rozum ma znaczenie
w świecie!"

Ona mu śmiechem parsknie w twarz:
„Bielmo na oczach chyba masz!
Toż bez rozumu żyją was gromady,
Lecz bez kobiety — żaden nie da
rady!"



Z PIOSENKĄ WŚRÓD ROBOTNIKÓW



Poniżej na lewo:
Cieszący się dużą sympatią publiczności młody śpiewak Tadeusz Kalinowski i Hanka Dylążanka, odnieśli duży sukces w piosence „San Remo". W kilku numerach programu odśpiewał z brawurą młody tenor Franciszek Targowski kilka arii operetkowych, które na żądanie publiczności musiał bisować

Obok:
Efektowna scena z egzotycznego obrazka pt.: „Melodia pustyni" w wykonaniu H. Dylążanki, Z. Więcławówny, Fr. Targowskiego, Fr. Buratowskiego i T. Kalinowskiego



Powyżej:
Ozdoba i filar zespołu — Zofia Więcławówna — w nowoczesnym stepie

Poniżej:
Omawianie spraw literackich programu. Na zdjęciu od lewej: Fr. Targowski, Z. Więcławówna, T. Kalinowski, M. Maak, (kier. lit.) i Fr. Buratowski







Hrabia ze „Strasznego zamku" w doskonałej interpretacji Fr. Buratowskiego.

Z REWIĄ NA PROWINCJI

Byłem szczerze ucieszonym, że w czasie mego pobytu w Mościcach gościł zespół artystów krakowskich z przedstawieniem rewiowym dla robotników. Fakt ten dał mi okazję i możność zapoznania się na miejscu z bardzo ciekawym zjawiskiem, charakterystycznym dla współczesnej prowincji. Chodzi tu o bezsprzecznie odmienną reakcję prowincjonalnej publiczności na wszelkie kulturalne imprezy. Reakcja ta stała się obecnie bardzo żywą. ustosunkowanie się szlachetne i przyjazne, nie mające nic wspólnego z przysłowiową przedwojenną, głuchą obojętnością. Pod tym względem istotnie zaszła gruntowna — godna podziwu — zmiana na lepsze. Jest to niewątpliwie typowe zjawisko czasu, spowodowane przede wszystkim obecną — zastraszającą w swych rozmiarach — wojną, która ze względów zrozumiałych ograniczyła, w stopniu znacznym, kulturalne rozrywki, w szczególności na prowincji. Pozbawiona — przez okres kilku lat wojny wszelkich kulturalnych rozrywek — publiczność mniejszych miast tłumnie i z entuzjazmem spieszy na każdą tego rodzaju imprezę; wita serdecznie każdy gościnny występ przyjezdnych artystów, wzrusza ją każda piosenka, cieszy każde słowo polskie, bawi każdy dowcip. I nie ulega wątpliwości, że prowincja stanowi dzisiaj bardzo wdzięczny i miły grunt dla wszelkich imprez teatralnych. Stąd idea teatrów objazdowych w dzisiejszych czasach — zrodzona w trosce o zaspokojenie kulturalnych potrzeb prowincji, okazała się ze wszech miar godną pochwały i fortunną, a jej realizacja w zorganizowanych teatralnych zespołach objazdowych — już przyniosła oczywiste rezultaty, przy czym ogromne powodzenie przedstawień wskazuje na konieczność dalszej kontynuacji. Omawiając powodzenie tych imprez, nie wolno jednak pomijać udziału uzdolnionych artystów i wreszcie tematyki programu. Rewia, którą oglądałem w Mościcach odznaczała się wspaniałym tempem i doskonałym układem. I jakkolwiek wyjazdy na prowincję jeszcze dziś sprawiają wiele niewygód, lecz absolutnie nie można porównywać takowych z przedwojenną „włóczęgą" po prowincji, która była gehenną aktorską, w której ginęły reymontowskie „komediantki", na tej tułaczce o głodzie i chłodzie.

Paliwoda-Matiolański



Na lewo:
W oczekiwawniu na pociąg na prowincjonalnej stacyjce. Na zdjęciu od lewej: Z. Dronka (kier. muz.), Dylążanka, Targowski, Więcławówna, Buratowski i Kalinowski